CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V — Warszawa, dnia 4 lipca 1948 r. — Nr 27 (188)

JERZY BOREJSZA

NA UDEPTANĄ ZIEMIĘ*)

Córka małorolnego chłopa z Siedleckiego, osiemnastoletnia Helena Ł. odpowiada na ankietę ZWM: „Jaki chciałabym obrać zawód? Co temu sprzyja i co przeszkadza?"

W swojej odpowiedzi opisuje okres okupacji, kiedy pracując jako służąca u jednej z nauczycielek, mimo upokorzeń ze strony koleżanek uczyła się, w ubiegłym roku otrzymała małą maturę, obecnie zaś chodzi do liceum pedagogicznego. Mówi o sobie tak:

„Poświęcam się pracy nauczycielskiej nie tyle z zamiłowania ile z dwóch innych przyczyn. Nie powiem, abym nie lubiła tego zawodu, nie! — myślę, że będę dobrą nauczycielką, bo lubię w ogóle pracę społeczną, ale cała moja dusza i serce rwie się do czego innego, na co nie mam zupełnie możliwości".

O czym to marzy osiemnastoletnia Helena?

Odłóżmy na chwilę ankietę Heleny Ł. i sięgnijmy do najpoczytniejszej przed wojną książki dziewcząt w tym wieku, „Trędowatej" Heleny Mniszkówny. Stefcia Rudecka marzyła o ordynacie Michorowskim. Dla niej awansem społecznym, nieosiągalnym awansem biednej nauczycielki było wkroczenie do środowiska klasowo uprzywilejowanego. Te drobnomieszczańskie śnienia o nieosiągalnym środowisku arystokracji, narzucane i wpajane przez literaturę piękną i literaturę kuchenną stały się tak powszechne wśród większości młodych dziewcząt, że między Stefcią Rudecką z jej wypaczonym pojęciem klasowego awansu a marzeniami tysięcy dziewcząt w Polsce zrodziła się wspólnota najistotniejszych tęsknot i pragnień. Już Boy-Żeleński w świetnej rozprawie „Przeczytałem Wertera" odbrązowił sentymentalizm „Cierpień młodego Wertera" i wykazał, że sprawa miłosna, która doprowadziła do samobójstwa jest tylko zewnętrzną powłoką dla istotnego dramatu młodzieńca, wyrzuconego za drzwi z domu człowieka, który dlań stanowił nieosiągalny typ klasowy, rękojmię społecznego awansu. Tajemnica masowego oddziaływania literatury tkwi właśnie we współdźwięku tych stwarzanych, sugerowanych, narzucanych przez lekturę tęsknot — z emocjami jej odbiorców. Od tej literatury masowej zależy dalsze kształcenie — zdrowych czy wypaczonych — typów kulturowych, a więc społecznych.

„Trędowata" Mniszkówny nie jest jeszcze książką przebrzmiałą. Zobaczmy, czym karmi marzenia dziewcząt, czytających ją jeszcze dzisiaj? Otwieram książkę i czytam:

„Postać Waldemara olbrzymiała w jej podnieconej wyobraźni, głos jego grzmiał, niby wzburzone wody Oceanu. Ramiona potężne, ramiona, mogące skruszyć wulkan, otwierały się do niej, aby ją unieść z ziemi, do wyżyn rozsłonecznionych, do apotezy boskiej szczęśliwości.

Stefcia majaczyła z jego ideałem w całej swej istocie".

Rzecz jasna, Stefcia Rudecka nie była typowa dla środowiska nauczycielskiego. Bardziej typowa była „Siłaczka" Żeromskiego. I nauczycielstwo i bibliotekarstwo w Polsce trwało w nieustannej walce z trędowatoszczyzną.

Wróćmy teraz do wypowiedzi uczennicy liceum pedagogicznego. Jakież są jej niedoścignione marzenia?

„A teraz co do moich marzeń Chciałabym bardzo, marzę o tym całe życie, aby być lotnikiem, ale tyle przyczyn nie pozwala mi nawet myśleć o tym. Przede wszystkim warunki materialne, poza tym zdrowie (właściwie niby jestem zdrowa, ale trochę serce „nawala" i oczy mam słabe) no i wiele przyczyn, tak, że to pozostanie na zawsze moim marzeniem, ale tylko marzeniem I to jest jedyna rzecz, jedyne marzenie, które nie może mi się spełnić w życiu. Bo poza tym wierzę, jestem pewna, że wszystko w życiu się spełnia, jeśli człowiek chce tego i dąży doń".

Zestawmy te dwa światy marzeń: Stefci Rudeckiej o ramionach — skrzydłach ordynata Waldemara i marzenia córki Michorowskiego i marzenia córki małorolnego chłopa ze wsi Skórze, która realnie awansowała ze służącej na uczennicę liceum pedagogicznego i marzy o ramionach — motorze o samolocie, którym ona sama będzie kierować. Dla niej „Trędowata" jest książką śmieszną. Toć to dwa typy psychiczne, dwa typy kulturowe, i dwie różne epoki.

Jeden typ psychiczny i jeden typ konfliktu, bez względu na to czy odnajdziemy go na śmietniku Mniszkówny, w pięknej powieści Weysenhoffa „Soból i panna" czy w „Cierpieniach młodego Wertera", wyraża drobnomieszczańską tęsknotę wdarcia się do gnijącej, ale uświetnionej wiekami arystokracji klasowej. Drugi typ to ten, o który walczyli dawniej pracownicy kulturalno-oświatowi i który rodzi się w naszej epoce Polski Ludowej razem z realną możliwością awansu społecznego, wejścia do nowego środowiska, do świata nowych form ustrojowych, społecznych i kulturalnych.

Rozpocząłem od dwu przypadkowych zestawień, by na drobnych, ułamkowych zjawiskach wykazać, że walka dwu form, dwu typów kulturalnych, drobnomieszczańskiego i socjalistycznego — trwa. Typ przebrzmiały, lecz ciągle mający swój krąg oddziaływania i wypierający go typ nowy współistnieją i ścierają się w naszym ustroju. Sprawa jest znacznie poważniejsza, aniżeliby się na pozór wydawało i wymaga większego pogłębienia. Rzecz jasna, rozwój sił gospodarczych i społecznych w ostatecznym obrachunku zadecyduje o nowym typie kultury. Ale proces powstawania nowej kultury można wypaczyć, opóźnić i wykoleić, jeżeli się nie rozpatrzy krytycznie tych wartości — może nie tradycji kulturalnej, ale modeli kulturalnych — które należy usuwać; jeżeli nowe wartości, które niewątpliwie narastać będą od dołu, ulegną wykrzywieniu pod urokiem cieni kulturalnej przeszłości.

Na dnie bowiem sporów, które rozgorzały na łamach prasy literackiej, a z których raz po raz wychyla głowę obawa przed rzekomym obniżeniem kultury, tkwi błędna, wsteczna i szkodliwa teoria, że oddziaływanie kultury odbywa się jednostronnie, jednokierunkowo: z góry w dół. O tej teorii pisze Józef Chałasiński „Społeczeństwo i wychowanie" — (strona 102 — 103).

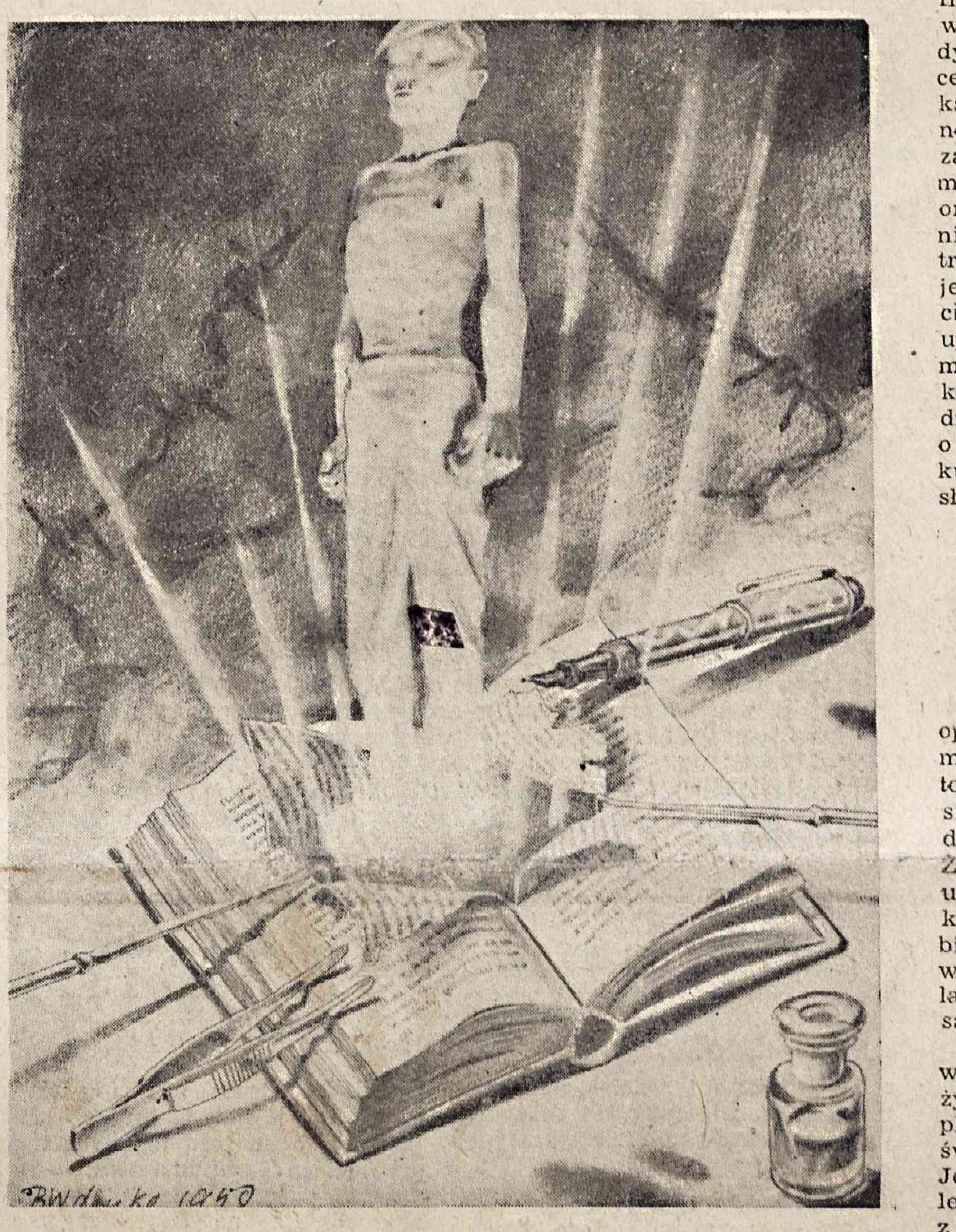
„Według tej teorii kultura to proces aktywny, twórczy, dokonujący się na szczytach społeczeństwa, i bierny, odbiorczy — na dole. Niższe warstwy społeczne nie biorą aktywnego i twórczego udziału w kształtowaniu się kultury. Nic tu nie idzie od dołu do góry, tylko wszystko od góry do dołu. Zagadnienie kultury to zagadnienie elity. Demokratyzacja kultury z tego stanowiska to sprawa rozszerzania rekrutacyjnej bazy elity na niższe warstwy i upowszechniania kultury z górnych warstw do dolnych".

„Ta teoria kultury — powiada dalej Józef Chałasiński — nie jest zgodna z historycznym procesem kształtowania się kultur. Proces przenikania wartości kulturowych nie odbywa się tylko w jednym kierunku z góry na dół. Szedł on także w kierunku odwrotnym, z dołu do góry".

„Proces demokratyzacji polega nie tylko na tym, że wzory kulturowe klas wyższych przenikają do klas niższych, lecz także na tym, że wzory kulturowe tzw. klas niższych przenikają do klas tzw. wyższych i nabierają charakteru obowiązującego dla całego społeczeństwa".

Sądzę, że ta niewątpliwa prawda pozwoli nam określić nie tylko stan obecnego czytelnictwa, ale i proces, kierunek rozwoju czynników, które wciąż będą pęcznieć, wzrastać i górować. To jeszcze mało stwierdzić, że Sienkiewicz i jego Skrzetuski czy Wołodyjowski są jeszcze dzisiaj najbliżsi młodzieży. Należy się także zastanowić, dlaczego ten sam Sienkiewicz jest stosunkowo najmniej popularny na Górnym Śląsku, a jednym z najbardziej czytanych pism młodzieżowych jest „Skrzydlata Polska". Otóż w miarę postępu przemian socjalnych, Wołodyjowski i Skrzetuski, typy przeszłości, maleją i stają się nierealnymi cieniami wobec współczesnego bohatera pracy. I dlatego należało by naukowo zbadać i ustalić, w jakim kierunku powinna iść świadoma praca bibliotekarza - oświatowca. Bo jak słusznie twierdzi Józef Chałasiński (tamże — str. 106): „Naukowe przeciwstawianie wyników myślenia polega na tym, że przedstawia się nie tylko wyniki, lecz także drogę do wyniku i sposób jego osiągnięcia tak, by można było wynik sprawdzić i krytycznie ocenić"

Kto zajmie się oceną i wyeliminowaniem „trędowatych" mitów, kto będzie się domagał nowego typu bohatera i narzucał go nowej literaturze? Rzecz jasna — nowy konsument, właśnie taka nauczycielka Helena, której bohaterem może być Żwirko i Wigura, ale już nie ordynat Michorowski.



Narodziny człowieka — Bronisław Linke

Awans społeczny, który przybiera coraz bardziej powszechno-masowe formy będzie wpływał oddolnie i nieustannie na przemiany kulturalne, a tym samym na treść czytelnictwa. Helena Ł., to przecież tylko jeden z wielu typów. Chłop Sapiński Feliks z gminy Olszyny z Ziem Zachodnich pisze: „Już w roku 1946 w lutym przyjechała moja córka i zabrała nas na Zachód. Ona tam pracowała na granicy, jako oficer polityczny. Serce mi się radowało, gdzie to słyszane, żeby dziecko chłopa było oficerem. Dumny byłem, to właśnie moje dziecko odznaczone było „Krzyżem Partyzanckim" i miało odpowiednią pracę".

Tysiące Sapińskich zasiliło kadry oficerskie Wojska Polskiego. Taki awans społeczny — to równocześnie awans kulturalny. Tysiące z tych ludzi znajdzie się na ławach uniwersytetu, szkół wyższych, szkół rzemieślniczych. Sięgnijmy tylko do cyfr choćby na jednym odcinku: ilu jest robotników na stanowiskach kierowniczych w przemyśle? Z dniem 1 marca 1948 r. mieliśmy ogółem 10334 robotników. — dyrektorów naczelnych, administracyjnych, technicznych, kierowników działów, majstrów; przy czym w przemyśle włókienniczym — 810, węglowym — 2.438, hutniczym — 1.025, metalowym — 1.568. W dniu 31 kwietnia mieliśmy 352 dyrektorów — robotników, 743 w wyższym dozorze technicznym, 2.747 w średnim dozorze technicznym, 6486 majstrów, wysuniętych spośród robotników.

Ślusarz Nosek Michał, obecnie dyrektor naczelny Zaodrzańskich Zakładów Budowy Mostów i Wagonów w Zielonej Górze, frezer Wopiński Stefan, dziś dyrektor administracyjno - handlowy fabryki w Łodzi, robotnik Bolesław Szydłowski — dyrektor naczelny Fabryki Dykt w Skierniewicach, ślusarz Wodek Leon, obecnie asystent dyrektora w Rafinerii Nafty w Trzebini czy wreszcie wicedyrektor cukrowni Mątwy, spawacz Piwkowski Antoni, oto linia kierunkowa, która stanie się wzorem dla setek tysięcy, milionów dążących do społecznego awansu ludzi z ludu, którzy oddziaływać będą na tworzenie nowych dóbr i nowych wartości.

Chodzi o to, w jakim klimacie kulturalnym awansujący będą wychowywani: czy w klimacie drobnomieszczańskiego właściciela warsztatu — czy też w klimacie radości tworzenia rzeczy wielkich?

Z książki „Robotnicy piszą", która się ukazała przed wojną z Rp M 4 pragnę podać jeden przykład takiej eliminacji. Oto, co pisze robotnik z powiatu jasielskiego, który tylko pół roku życia spędził w szkole:

„Pewnego razu pani R. jechała do Stanisławowa. Dałem tej pani pieniądze, ażeby mi kupiła książkę. Ponieważ ta pani była inteligentną kobietą, kupiła książkę dla mnie najodpowiedniejszą, t.j. o kwiatach, motylach, gąsienicach i o grzecznym Jasiu i Marysi. Oczywiście ten Janek i ta Marysia byli dziećmi właściciela ślicznego domku. **Książeczka dobra, ale mnie śmiertelnie nudziła. Nie rozumiałem ich języka, ich zwyczaje były mi absolutnie obce.** Ja, który jeszcze wtedy byłem posiadaczem potężnego nagana, który widziałem wykrzywione w okropnym bólu twarze trupów, który widziałem, jak się ludzie dorośli mordowali, nie mogłem czytać tej książki. Motyle i parę słów o astronomii zadecydowały, że tę część z zainteresowaniem czytałem".

Jak widzimy, robotnik sam ocenił książki; ten piękny domek, ten karmelkowy ton opowiadania był dla niego obcy i nieciekawy. Prezydent Bolesław Bierut w swoim przemówieniu wrocławskim, które nie mogło pozostać bez echa i które niewątpliwie stanowi program dla realizacji powiedział:

„Najzupełniej i nieuzasadnionym i fałszywym jest przesąd, że ludzie pracy, że ich zainteresowania wymagają obniżenia poziomu twórczości kulturalnej i artystycznej, dostosowania jej do specyficznego, jakoby prostackiego gustu i upodobań mniej lub więcej ordynarnych lub sprośnych... Sztuczna, wulgarna „kultura ludowa", sztuka dla maluczkich — to wynalazek jaśniepańskiego dworu, a nie rzeczywista potrzeba chłopa czy robotnika".

Jakże śmieszni są ci, którzy wychodząc z zasady, że kultura idzie z góry w dół, przypuszczają, iż nowy konsument przyjmie wszystko, co mu podaje literatura schyłkowa z całym jej tematycznym i formalnym mętniactwem i rozkładem. I jak dziecinni, jeśli się im wydaje, że ideologicznie mętne utwory, roztrząsające samotność człowieka czy też fikcyjne konflikty psychologiczne będą łapczywie rozchwytywane, z chwilą kiedy ustawa biblioteczna albo niska cena pozwoli zapełnić nimi półki księgarskie. Ci, dla których elitarno-inteligencki język, zbutwiały, zamarły, obciążony pseudonaukowymi świecidełkami pustej słownej ornamentyki jest nienaruszalnym niedostępnym tabu, ci którym tromtadracki nacjonalizm zastępuje patriotyzm ludowy, ci wreszcie, których snobizmowi schlebiają upostaciowane pod różnymi maskami teorie antynaukowe, ostatni krzyk mody zagranicznej — to ludzie najzupełniej obcy tak walce o socjalizm, jak i upowszechnianiu kultury. O nich mówi poeta Czesław Miłosz:

„...ci irracjonalni
Świat widzą na kształt wielkiej balii
A każdy grzebie się tam w magmie
No i wybiera to co pragnie"

Mylą się jednak i ci bezwładni optymiści, którzy sądzą, że przemiany kulturalne mogą przyjść automatycznie, mechanicznie, same z siebie w ślad za procesami gospodarczymi czy z rozwojem techniki. Że wystarczy tylko zrealizować ustawę biblioteczną, zapełnić półki książkami o różnych tytułach, bibliotekarza — działacza oświatowego sprowadzić do roli rozdzielającego książki — i wszystko się samo zrobi.

Jest to pogląd błędny i szkodliwy. Procesami kulturalnymi należy kierować: wypełniać je treścią, plenić chwasty, słowem prowadzić świadomą i planową ofensywę. Jest to wielce radosny objaw, że lepsza część młodzieży zdaje sobie z tego sprawę. We wspomnianej ankiecie osiemnastoletni Franciszek D. (pseudonim Swarożek), syn robotnika z Katowic pisze:

„Koledzy! Kończę obecnie liceum pedagogiczne i otwiera się przede mną perspektywa pracy wychowawczej. Niejeden może powie — wariat, nie miał gdzie iść to poszedł do liceum pedagogicznego, aby zarabiać na posadzie marne sześć tysięcy złotych. Zaprzeczę temu śmiało, gdyż znam sam siebie i zresztą nie jestem już taki młody, mam lat osiemnaście. Opiszę krótko, co skłoniło mnie do tego, że postanowiłem wybrać zawód nauczycielski. Istnieje teraz pytanie — dlaczego? Otóż widziałem w swoim krótkim życiu niejedno, widziałem setki polskich dzieci o wypaczonych charakterach (sam bowiem przez przebywanie podczas okupacji z ludźmi najgorszego pokroju — miałem też wypaczony charakter, który jednak dzięki silnej woli i samokształceniu zdołałem naprawić) postanowiłem więc pracować na polu wychowawczym, aby naprawić to, co zepsuła okupacja, aby naprawić i wykształcić i postawić na odpowiednim poziomie charakter polskiej młodzieży. Poczułem w sobie powołanie do zawodu nauczycielskiego i wstąpiłem do liceum pedagogicznego, które w tym roku szkolnym kończę. Mogłem sobie wybrać inny zawód, a jednak nie wybrałem, bo przecież praca nad maszyną czy papierem nie daje takiego zadowolenia jak praca nad żywą istotą, jaką jest dziecko — praca nad wyrabianiem jego charakteru. Dużo mówi się dzisiaj o maszynach, fabrykach, wynalazkach, a za mało o człowieku, który przecież jest motorem tej wielkiej machiny, jaką jest przemysł. Często padają zdania — niedługo to człowiek nie będzie musiał pracować w ogóle, bo wszystko za niego zrobią maszyny, a on będzie nimi tylko kierował, to dopiero będzie raj na ziemi, aby wreszcie nadszedł ten czas. Nadejdzie — a nawet już nadchodzi w postaci nowej ery — ery atomowej. I znowu muszę zaprzeczyć temu, że wszystko za człowieka zrobią maszyny — nie, wszystkiego nie zrobią, nie będą mogły nauczać i wychowywać młodych pokoleń, bo żadna maszyna nie zastąpi nauczyciela. Gdy o tym pomyślę to czuję się naprawdę szczęśliwy, że obrałem sobie zawód nauczyciela, bo przecież wielką jest rzeczą nieumiejętnych nauczać".

W tych prostych słowach Franciszek D. wypowiedział wielką prawdę o humanizmie socjalistycznym. I tu zaczyna się rola książki. Dla nas jak i dla każdego oświatowca nie jest i nie może być rzeczą obojętną, na jakich bohaterach wychowywać się będzie młodzież, na jakich wzorach wyrośnie w Polsce młody człowiek. Nie jest obojętne, czy alkoholizm będzie się nadal szerzył wśród młodzieży, czy też dzięki systematycznemu oddziaływaniu oświatowemu monopolówkę i samogon wyprze świetlica i książka. Jesteśmy wszyscy głęboko przekonani, Rząd również, że Skarb Państwa i wydajność pracy w ostatecznym rachunku na tym jedynie zyska.

Nie jest dla nas obojętne czy książka, którą dajemy do rąk odbiorcom, zaszczepiać będzie etykę filisterską, cynizm, pesymizm, poczucie osamotnienia, chorobliwy indywidualizm — czy też etykę człowieka uspołecznionego, pracującego zespołowo, humanizm aktywny, twórczy, rewolucyjny, dumę ze swojej klasy, swojego kraju i ustroju. Piękne słowa — powie niejeden — ale Wyspiański odpowiedziałby na to: „a tu rzeczywistość skrzeczy". Półki biblioteczne i księgarniane nie dostarczają tego typu literatury przystosowanej do nowego modelu kulturalnego.

Twierdzę, że jeżeli jeszcze rok temu podobny pesymizm mógł być uzasadniony, to w ciągu minionego roku, szczególnie od wrocławskiej mowy Prezydenta, sprawa uległa zmianie na lepsze.

Twierdzę, że te zmiany nastąpiły u nas bez nacisku i gwałtu, że przychodzą one na fali rewolucji łagodnej, że znoszenie rogatek kulturalnych, zanikanie kulturalnej emigracji wewnętrznej to proces organiczny, wynikający ze zdrowych przemian wśród naszej inteligencji, szczególnie inteligencji twórczej.

W roku bieżącym ukazało się szereg utworów literackich i dramatycznych, które wyrosły z ducha współczesnego czasu i które wywołały, nieznane dotąd w Polsce dyskusje. Również Związek Zawodowy Literatów przejawia dużo dobrej woli zbliżenia się do nowego odbiorcy i nowej rzeczywistości. Masowe wyjazdy literatów i spotkania z czytelnikami, choćby taki wyjazd Marii Dąbrowskiej do Istebnej, dokąd jak na pielgrzymkę zjechało się kilka wiosek, ankieta pisarzy na wsi — to początek przemian, których nie wolno lekceważyć.

Słusznie ktoś zauważył, że z punktu widzenia naukowego, relacje autorów miastowych o stanie czytelnictwa powinny być krytycznie opracowane, tak samo zresztą jak relacje autorów wsiowych. Nie należy jednak zapominać, że najważniejsze jest tu dwustronne oddziaływanie tych wyjazdów.

Wyniki ostatnich konkursów świadczą, że fabryka i wieś wyłonią niewątpliwie zastępy nowych pisarzy, którzy zasilą Związek Literatów. Z proletariatu wyrośnie „proletariusz pióra" — jak nazywał literata Żeromski.

W roku bieżącym ukazała się bogata literatura popularno - naukowa. A to jest bardzo ważne — mamy już warsztat pracy oświatowca. Zaczynając od rozkwitu klasycznej kultury greckiej, każdy okres postępu był okresem oświecenia, okresem nawrotu do zasad naukowych, do jasnej skrystalizowanej myśli, do walki z mętniactwem i irracjonalizmem. W demokracji greckiej i w społeczeństwach elitarnych szkolenie rządzących wyglądało inaczej niż w demokracji socjalistycznej, która znosi uprzywilejowania polityczne, stanowe i gospodarcze, gdzie nauczanie i podnoszenie poziomu kulturalnego dla rządzenia krajem w duchu uspołecznienia psychiki ludzkiej staje się powszechne i dostępne dla każdego, gdzie tym samym zanika podział na grupę rządców i rządzonych.

Hitleryzm, a w ślad za nim wszystkie rządy klik wojskowych tych wynaturzonych klik partyjnych, odwracały się od nauki, brnę-

(Dokończenie na str. 2)

*) Fragment referatu, wygłoszonego na naradzie działaczy kulturalno-oświatowych, zwołanej przez „Czytelnika" w Warszawie dnia 27 czerwca 1948 roku.

BOHDAN CZESZKO

KONIEC EDUKACJI

Na drogowskazie gościńca widniała na żółtej tabliczce nazwa: Kronenheide. Zaraz pod spodem, na nieoheblowanej i zaszpicowanej z jednego końca deseczce przybitej papowym gwoździem napisano kopiowym ołówkiem: „Gospodarstwo Bocianowski". Było to określenie miejsca postoju dowódcy pułku. Podobało mi się to, miało posmak swojskości: dowódca pułku, znaczy, gospodarz. Nawet tak wyglądał, kiedy jechał galopem wzdłuż marszowej kolumny rozwalony w siodle niby w fotelu, ciężko tłukąc zadem w grzbiet konia.

Miasteczko nie było zniszczone tylko rozbabrane, jak topielec, kiedy go napoczną karpie. Domy stały wszystkie i tylko niektóre miały rozczapierzone dachy i powyrywane ściany. Wnętrza ich były puste, zanieczyszczone, brakowało mebli i wszędzie stały całe baterie otwartych już dawno słoików systemu „Weck". Kipiała z nich zielona pleśń porastająca zaśmierdłe konserwy z dyni, z porzeczek, z zielonych pomidorów. Na podmokłej łączce, gdzie zbijaliśmy tratwy do przeprawy przez rzekę, ugrzązł w świeżej trawie, na świadectwo stoczonych tutaj walk, wrak czołgu „T. 34". Po rowach walały się pierzyny namoknięte i brudne. Nie zastaliśmy tu żywej duszy.

Dni upływały leniwie. Było ciepło i zatrudnieni przy montowaniu tratew chłopcy pracowali bez mundurów w flanelowych zimowych jeszcze koszulach. Mundurów było szkoda, bo i tak drelich w długich marszach na deszczu i słońcu zetlał i pękał na łokciach w poprzek. Pracowali zatem tak jak przy żniwie, pocili się.

W obiad przyjeżdżała kuchnia i podczas gdy my dobywaliśmy zza owijaczy łyżek, aby posilić się nieuchronną, jęczmienną kaszą, chorąży Chodźko wystękiwał komunikat o sytuacji na froncie. Dukał zajadle, brnąc poprzez zamazane miejsca. Wodził obgryzionym ołówkiem po papierze zadrukowanym na powielaczu i tylko końcowe, patriotyczne frazy wychodziły mu gładko, bo były prawie zawsze te same.

— Czego wy, panie chorąży, tak stękacie przed całą kompanią? — mówiłem łagodnie, jako że była wiosna a z wiosną staję się tkliwy i dobry. — Dalibyście kilka egzemplarzy, sami przeczytamy po obiedzie. W czasie jedzenia to wiecie nawet niezdrowo, żołądek soków nie wydziela. Wy powinniście w obiad o kwiatach mówić albo o schabowych kotletach. Tak, tak. O mapę się postarajcie, bo gdzie ten Kołobrzeg, to diabli wiedzą. Kareta u mnie, panie chorąży, płacimy.

Rozmowa toczyła się przy pokerze. Trzymałem fason tego rodzaju, że nigdy nie wiedzieli, ci młodzi „kurtyzowani" oficerowie, kiedy kpię a kiedy pytam o drogę. Mówiłem wierutne banialuki głosem patetycznym, dawałem najdziwaczniejsze porady dotyczące profilaktyki stosowanej przy chorobach wenerycznych. Autorytet miałem przez to, paliłem dobry tytoń z oficerskich przydziałów, no i stanowiło to w rezultacie jakąś rozrywkę. Służyłem w wojsku niechętnie.

— Potrzeba tylko tego, ażebym teraz na sam koniec wojny śledzia połknął — myślałem.

Chodźko posłuchał. Przybił mapę na drzwiach i mazaliśmy na niej do woli czerwonym ołówkiem. Stanowiło to jeszcze jeden sposób oskubywania z godzin nielicznych dni, jakie pozostały nam do chwili wymarszu na linię frontu, gdzie dopiero się pokazało, że nasze tratwy psu na budę nie zdały się. Intensywna praca przy montowaniu ich z antałków od piwa i wyrwanych wierzei stodół nie była jednak nadaremna. W te dni uchroniła ona wielu ludzi od nadmiernego myślenia, co, jak wiadomo, nie jest czynnością zbyt zalecaną na wojnie.

— Ty, Kuciun, nie rozmyślaj tak, tylko ty kop — mawiałem na ćwiczeniach do pleców leżącego bezradnie jak rozdmuchana żaba, erkaemisty. — Ty kop stanowisko w pozycji leżącej i strzelaj. Strzelaj jak Pan Bóg przykazał.

Jednego takiego co myślał źle — rozstrzelano. Poszliśmy po obiedzie całą kompanią przez łączkę obok czołgu. Na drodze pod lasem dołączyły do nas inne kompanie wchodzące w skład batalionu, wszystko bez broni i oporządzenia. Weszliśmy w las chrobocząc butami po chruście i na dużej, porosłej wrzosem porębie zajęliśmy miejsca na lewym skrzydle ustawionego w podkowę pułku. Podkowę sformowano naprzeciw wysokiego, piaszczystego obrywu. Zaryte w piachu wisiały na nim drzewa, którym zabrakło ziemi. Piach był żyłowaty, rudego koloru. Schły na nim, uwieszone korzeniami, jak czarne gnaty na resztkach ścięgien, obtrącone drzewa. Sosny ociekały obficie żywicą i szedł nad porębą duszny zapach ciepłego lasu.

Już przedtem przygotowano dół i obok sterczał odarty z kory cienki pień. Pomiędzy drzewami zarechotał motor, to „Dżems" manewrował pracowicie u skraju poręby. Stanął tyłem i wyskoczyli z niego najpierw czterej żandarmi a za nimi zesunął się po opuszczonej klapie żołnierz w nieprzepasanym, burym szynelu. Utykał na lewą nogę, krzywiąc twarz w lekkim grymasie bólu albo zniecierpliwienia. Żandarmi podwiązali go sznurem do słupa i wtedy wyskoczył na pieniek zastępca polityczny „gospodarza". Za pierwszym razem noga mu się obsunęła i skakał chwilę wokół pieńka jak kogut, kiedy ma miłosny zamiar, stuknął się boleśnie w kostkę. Wszedł po raz drugi ostrożniej i czytał uzasadnienie wyroku oraz sam wyrok. Muchy brzęczące ponad porębą, był to okres ich wspaniałej ruí, łaskotały go po twarzy, bo omachiwał się przeczytaną już kartką maszynopisu.

— ...zapytany, dlaczego nie rozładował broni po powrocie z warty, odpowiedział, że pragnął jeszcze tej samej nocy zastrzelić kurę. W toku śledztwa wyszło na jaw, że ani jednej żywej kury nie było w całej wsi... —

Stojący obok mnie Kuciun uśmiechnął się słabo.

— Czego się śmiejesz, blat', człowieka rozstrzeliwują — szepnąłem w jego włochate ucho.

— Pan sierżant też się śmieje — odpowiedział od razu. Nie zdołałem opanować w porę grymasu.

— ...Śledztwo wykazało ponad wszelką wątpliwość, że obwiniony starszy strzelec Michałko postrzelił się sam w celu uniknięcia wymarszu na front. Czyn ten — haniebny zakwalifikowano jako objaw tchórzostwa w obliczu nieprzyjaciela. Starszy strzelec Michałko niegodzien jest miana Żołnierza Polskiego. Starszy strzelec Michałko skazany został na śmierć przez rozstrzelanie. —

Związany u słupa Michałko zerknął po gospodarsku na dół obok pala, a później pociągnął spojrzeniem po szeregach. Usta miał wykrzywione w głupkowatym, martwym uśmiechu jak dobrotliwy fetysz. I tak już stał z tym uśmiechem, kiedy zrywano mu pagony i orła z czapki. Żandarmi zasłonili go na chwilę plecami i zastrzelili szybko. Odstąpili i wtedy zobaczyłem go obwisłego na sznurze przytrzymującym go w pasie. Wyglądało to tak, jakby kłaniał się wszystkim gestem głębokim i pańszczyźnianym. Dowódcy plutonów wykrzyknęli swoje komendy i odeszliśmy w ciszy. Zapomnieliśmy o nim za godzinę. Nie był on przecież nawet z naszego batalionu tylko z jakiejś „spec-jednostki", może z cekaemów albo z rusznic przeciwpancernych, diabli wiedzą.

Za dwie godziny odeszliśmy na linię, obciążeni świeżo wyfasowaną zapasową amunicją i ręcznymi granatami. Za nami jechał wóz taborowy wiozący tratwy i łopaty o długich styliskach. Kurz wzniecony pochodem miał kolor pomarańczowy, prześwietlony był bowiem promieniami słońca zachodzącego w nadwodne, ciężkie opary.

Chłopcy śpiewali niezbyt głośno:

Czy pamiętasz nasz domek
w Toledo
Cały w kwiatach,
Róż szkarłatnych...
Grzędy pachnące rezedą,
I słowików nocny śpiew...

Okazało się, że okopy są suche i wygodne. Wybrałem sobie miejsce, wykopałem saperką niszę w ścianie i wygrzewałem ją pracowicie zadkiem, obracając twarz za słońcem jak roślinka.

— ...A może i pan, panie sierżancie, poszedłby z nami na wypad. Tak po staremu, po warszawsku. Sprawa jest prosta. Gromadzę ochotników. Chciałbym mieć kogoś ze swojej wiary przy sobie. — Pokręciłem głową. Wytrząsnąłem popiół z fajki i wdychiwałem uważnie w plach żarzące się resztki tytoniu. Było to w nocy. Sylwetka zastępcy dowódcy kompanii smukła, obciśnięta krótkim kożuszkiem, lekko majaczyła w okopie. Jedynie głowę jego widziałem lepiej, patrząc od dołu, rysowała się na jaśniejszym tle nieba pokrytego gwiazdami.

— Nie pójdę, poruczniku. Mam wszawy odcinek. Martwe pole obstrzału, mogą podejść pod sam nos, rzekę granatem przerzuci. „Kombat" polecił na odprawie, aby uważać. Ludzi mam nieostrzelanych. — Pokręciłem głową.

— A no jak chcecie. Dobrze było by mieć kogoś z powstańczej wiary przy sobie. — Odszedł. Patrzyłem z dołu, jak się w nim, gdy znikał w głębi okopu za zakrętem kolebiąc się lekko na swych długich, mocnych nogach.

— Potrzeba tylko tego, ażebym teraz na sam koniec wojny śledzia połknął — myślałem wpasowywując się na powrót w moją niszę.

Przynieśli go o szarówce na płaszczu. Dźwigali go stękając ciężko dwaj esesmani złowieni przez patrol, którym dowodził. Trzeci uciekł w porannej mgle, ale zdążył puknąć z karabinu. Miał widać zaryglowany nabój z pociskiem o uciętym szpicu, bo głowę porucznika rozniosło. Przypominała rozbity sagan z borówkami.

— Widzicie, panie chorąży, jak to bywa. Mówiłem porucznikowi w nocy: To nie powstanie, wyszliście porucznik jakiegoś plutonowego. A tu, babach i po chłopie, jak krowa zlizała... trzy walety, obmazał się pan... — Siedzieliśmy po odprawie w bunkrze dowódcy kompanii.

— Trzy damy u mnie, płacimy. Chciał z bliska obejrzeć teren naszego natarcia. Wyprosił u kombata dowodzenie patrolem. „Pójdę, powiada, za rzekę". Eh.

— Nie należy zdrowej głowy kłaść pod ewangelię... pod ewangelię... pod ewangelię... pod ewangelię... — przyśpiewywałem monotonnie filując ostrożnie karty. — Gram za sto — zadecydowałem nagle i klasnąłem głośno językiem patrząc groźnie po partnerach. Bluffowałem.

Natarcie ruszyło o północy. Przeprawiliśmy się cicho na łodziach i zaraz poszliśmy dalej rozwijając się w tyralierę. Garb strachu, jaki niosłem na plecach, rozpłynął się w gorączkowym odrętwieniu. Owładnął mną narkotyczny stan właściwy każdemu żołnierzowi w ataku. Unosiłem do góry nogi, krocząc jak bocian, obawiałem się min. Wytknąłem przed siebie długi ryj pepeszy wierząc, że zaraz siknę z niej pociskami. Ale nic takiego nie zaszło. Kiedy przylegliśmy na jakimś nasypie przygnieceni do ziemi ogniem niemieckiej broni maszynowej, poczułem silne uderzenie w prawą rękę, odwróciłem się na plecy i zsunąłem się po śliskiej trawie w dół, bezradny jak dziecko.

— Kuciun, powiedz dowódcy, że jestem ranny!

Kuciun zaprzestał na chwilę dygotać przyklepiony do kolby erkaemu, zdjął palec z języka spustowego. Oddałem mu swoje granaty i odszedłem zgarbiony w kierunku rzeki. Byłem z powrotem na pozycji wyjściowej jak läufer, który wykonał fałszywy ruch w partii szachów. Z całego natarcia pozostał mi jedynie natrętny obraz twarzy Kuciuna, oświetlonej białym blaskiem rakiety. Nozdrza miał rozdęte, drażnił go zapach odpalonych naboi. Kiedy ja odchodziłem, on zmieniał właśnie stanowisko przeskakując w kierunku nieprzyjaciela z rozbudzonym doświadczeniem kłusownika. Do okopu przeszedłem po pontonowym moście, który saperzy zdołali już przez ten czas przerzucić. Na moście przystanąłem i wytrząsnąłem do rzeki krew z rękawa jak z rynny.

W bunkrze „Sanbatu" kapral łapiduch dał mi usilnie łyknąć okowity. Zwymiotowałem zaraz i poszedłem spać na słomę. Nad ranem obudził mnie potworny huk. Wibrowała pode mną prycza i spomiędzy belek powały sypał się cienkimi smużkami piach. Wydawało mi się, że żdźbła słomy pod moimi plecami drgają jak mrowisko. Potworną powodzią żelaza zalewała artyleria niemieckie umocnienia.

Wyjrzałem na świat Boży i odlewając się ostrożnie za próg obserwowałem, jak niedaleko, w kępie krzewów pracują kanonierzy. W perłowym świetle przedświtu widziałem cienie szamocących się z pociskami artylerzystów i rękę dowódcy opadającą i wznoszącą się miarowo jak ręka sędziego wyliczającego boksera po nokaucie.

— Ech! Byki krase! — ryczałem, pochylony nad siedzącymi pod ścianą łapiduchami. — Gdzie bunkier wykopaliście?! Pomiędzy stanowiskami artylerii. Bodaj was...

Siedzieli z rozdziawionymi ustami zatykając uszy.

— Prędko przyjedzie podwoda? A!

Kiwali, że prędko, tylko „artpodgotowka" ucichnie. Jakoż przyszła, suto wymoszczona słomą. W dzwoniącej ciszy jechałem rozwalony na niej, pod drzewami. Nieśmiało popiskiwały w koronach sosen poranne ptaki, jakby pytając czy już można. Drogę zagrodził nam długi łańcuch czołgów. Przystanęły w pochodzie za przeprawę.

— No jak tam... ciężko było? — Umorusany pancerniak w pokrytym watowanymi kiełbasami hełmie stał wychylony jak z balkonu w wieżyczce czołgu. Uśmiechał się przyjaźnie ocierając szmatą dłonie.

— Przejdziecie jak po stole... Przeprawę otworzyliśmy wam jak ten róży kwiat i artyleria zrobiła swoje. — Machnąłem zdrową ręką i nabzdyczyłem się pełen godności.

— Jak to taniutko wychodzi — myślałem. — Żyję oto i nie zginąłem ani z tchórzostwa jak ten idiota Michałko, ani z gorliwej odwagi jak porucznik. A przy tym wszystkim mam wiele zasługi i chwały.

Mój czołgista machnął dłonią na pożegnanie i dał nura w głąb stalowego pudła. Jego czołg bryznął piachem spod gąsienic i ruszył za innymi ku przeprawie kolebiąc się ciężko na wybojach. Taboryta cmoknął wilgotnie na konia i zdzielił go batem. Koń zesmrodził się i poszedł leniwie gościńcem w kierunku wschodzącego słońca. Wtedy to uniosłem głowę i patrzyłem za uchodzącymi czołgami. Szły jak stado czarnych byków rwąc darń i rycząc głośno. Przyczepieni do nich jak kleszcze czaili się za wieżyczkami fizylierzy. Ogarnął mnie nagły ostry żal, że nie jestem razem z nimi i nie jadę na twardej skorupie maszyny w pięknym, grzejącym mocno słońcu wiosny, ku rychłemu zwycięstwu. Byłem zatem zdolny, po tylu latach, odczuwać entuzjazm choć był to przecież malutki okruch tego uczucia.

— Noo... mały, noo... — postękiwał na konia taboryta.

Bohdan Czeszko

VILEM ZAVADA przełożył K. A. JAWORSKI

PORZUCONA

Zachodzi słońce w szkarłatnej tęsknocie,
i ogniem płacze i dogasa dzień
przed śmierci wschodem

Śpiew ropuch
pojęk mych przeszłych lat
Śpiew ropuch
wróżba mych przyszłych lat

Odwraca się mrok
od oczu moich
a nie chce brzask rozjaśnić ich świtaniem
po nocach, których sen nie koił

We mgłach się dusi dzień
z czerwonym żarem jak w psa oczach
a pod brzegami rzeka
o żelaznym kolorze złe wody swe toczy

Me serce się żarzy
jak słońce o wschodzie
Me serce się żarzy
jak blask o zachodzie

Po kogo wychodzić w ten mrok
z izdebki przesiąkłej zgryzotą?
Gdzie, miły rozbrzmiewa twój krok?
Bez miłości jest życie jak bez nieba ziemia

VILEM ZAVADA, ur. w r. 1905, urzędnik Biblioteki Uniwersyteckiej w Pradze. Poeta pełen wewnętrznego niepokoju, pesymizmu, boleśnie odczuwający sprzeczności życia, szukający ucieczki przed jego grozą w umiłowaniu „czarnej ziemi" ostrawskiej, przyrody i kobiety. Wiersz twardy, chropawy, widać uczciwy wysiłek poety o znalezienie własnego wyrazu, który by najwłaściwiej oddał przeżycie. Bibliografia: „Panichida" (1927), „Syrena" (1932), „Droga na piechotę" (1937), „Wieża zamkowa" (1940 — nagroda państwowa). Tłumaczy poetów jugosłowiańskich.

NA UDEPTANĄ ZIEMIĘ

(Dokończenie ze str. 1)

ły w systemach megalomanii charyzmatycznych wodzów. Nowoczesny ruch robotniczy od początku swojej walki o władzę oparł się na nauce, na zasadach kształcenia poczucia odpowiedzialności i wartości zespołowej pracy, walczył z awanturnictwem, improwizacją i klikowością w swych szeregach.

Tam, gdzie od tych zasad odstępował — nieuniknionym następstwem było zwyrodnienie ruchu robotniczego, zejście z drogi socjalizmu.

W Polsce postęp opierał się zawsze o postulat upowszechnienia nauki. Przypomnijmy Sejm Czteroletni, Staszica i pozytywizm. Tym bardziej na upowszechnieniu nauki musi się oprzeć prowadzący do socjalizmu, system demokracji ludowej. Bibliotekarz społeczny, który uważa, że miarą jego upolitycznienia jest najwyższy odsetek broszur politycznych w jego katalogu, a nie rozsądne uszeregowanie literatury popularno-naukowej, literatury pięknej i literatury politycznej jest nie bardziej politycznie dojrzały, ale bardziej politycznie głupi.

Angielski fizyk J. D. Bernal w książce „Społeczna funkcja nauki" powiada:

„Pełny rozwój nauki w służbie ludzkości jest niezgodny z trwaniem kapitalizmu... Zbliża się uspołeczniona, integralna, naukowa organizacja świata... Musimy zrozumieć, że znajdujemy się w jednym z ważniejszych przejściowych okresów historii ludzkości".

Badania czytelnictwa wykazują wzrost zainteresowania literaturą popularno - naukową, szczególnie wśród młodzieży.

✤

Okres prawie czteroletniej społecznej pracy kulturalno - oświatowej w Polsce pozwala określić już pewne jej cechy istotne i główne zadania.

W swoim przemówieniu wrocławskim Prezydent Bierut powiedział:

„Musimy czynić równocześnie wysiłki w dwóch kierunkach.

Po pierwsze: — w kierunku najszybszej odbudowy kraju i podniesienia materialnych warunków bytu całego narodu, a przede wszystkim warstw pracujących.

po drugie: — w kierunku uzdrowienia wynaturzonej przez niesprawiedliwy ustrój społeczny psychiki ludzkiej i likwidacji zacofania, podnoszenia poziomu oświaty i kultury najszerszych mas ludowych.

Oba te zadania są najściślej ze sobą związane i wzajemnie uwarunkowane. Nie podobna rozwiązać jednego bez równoczesnego wypełniania drugiego".

I dalej:

„Cechą znamienną tego okresu jest właśnie to, że miliony najprostszych ludzi weszły na tę scenę życia publicznego, że pragną one stać się czynnymi, a nie biernymi tylko jej uczestnikami, że stają się one stopniowo świadomym i twórczym czynnikiem dziejów".

Jest to jasne wskazanie, w jakim kierunku muszą iść nasze wysiłki, aby awans społeczny i gospodarczy szedł w parze z równoczesnym awansem kulturalnym, aby praca oświatowo - kulturalna stała się powszechną szkołą rządzenia państwem demokracji ludowej bezpartyjnych i członków partii, szkołą, która nas może obronić przed zalewem biurokracji i chamstwa, marnotrawieniem sił gospodarczych i ludzkich.

Stąd następujące wnioski:

Po pierwsze: funkcja pracy kulturalno - oświatowej w Polsce współczesnej jest inna, odmienna aniżeli dotąd: przestaje ona być pracą chałupnika, filantropa, schodzącego litościwie do ludu, przestaje być pracą za rogatkami kultury, tym bardziej przestaje być pracą kulturalnego konserwowania wsi i miasteczek w ich dawnych formach. Praca kulturalno - oświatowa winna nauczyć naród politycznego myślenia, podnieść wieś i miasteczko do miasta. Praca kulturalno - oświatowa nie może być narzucona z zewnątrz wielkim masowym organizacjom, zastępować miód ich pracy miękiszem kasztanowym. Winna ona wyrastać organicznie z ich kadr i cementować szeregi związków zawodowych, samopomocy chłopskiej czy organizacji młodzieżowych.

Po wtóre: pracownik kulturalno-oświatowy w Polsce Ludowej musi jasno i wyraźnie mieć przed oczami nowy model kultury i nowy model moralności społecznej. To znaczy musi widzieć źródło moralnej siły kultury narodowej w walce przeciwko kapitalistycznej psychice o styl zespołowej pracy, wzajemnej pomocy, o świadomość tego, co Joachim Lelewel nazywał „nie moje ani twoje — ale mirskie" — o radość wkładu w rzeczy wielkie. Trzeba zrozumieć, że rogatki kulturalne mogą być zniesione jedynie w walce przeciwko psychice własnościowej, a jak powiada Stefan Żeromski: „Jeżeli przeciwko temu podnoszą się ostrzeżenia, iż natura naszego „chłopa" niezgodna jest, jakoby z takim procederem gospodarstwa, że ta natura pożąda jedynie władania zagrodowego, na swym zagonie i swej własnej oborze, to można z góry odpowiedzieć tysiącem zaprzeczeń." Wydaje mi się, że na tym odcinku praca kulturalno - oświatowa, pionierska praca, którą między innymi prowadzi tygodnik „Wieś", może na długo wyprzedzić przemiany gospodarcze.

Po trzecie: czas ostateczny odpartyzanić ideologicznie, organizacyjnie i finansowo pracę kulturalną w Polsce. Czas skończyć z mitami i legendami duchowego bonapartyzmu chłopskiego, spółdzielczego czy innego. Jest jedna legenda i jeden mit — Polski Ludowej. W zakresie organizacji należy stworzyć ośrodki koordynacji, szkolenia i nadzoru państwowego, ażeby skończyć raz wreszcie z deptaniem sobie po piętach, z dublowaniem tych samych robót, z mnożeniem małych sadzawek, na których pięknie, megalomańsko rechocą żaby.

Finansowo należy scentralizować w jednym ośrodku wszelkie dotacje i subsydia na cele kulturalne i przeprowadzac ścisłą kontrolę, jaka część pieniędzy marnotrawi się na diety i administrację, jaka zaś część rzeczywiście idzie na pracę kulturalną. Mamy nadzieję, że od nowego roku budżetowego na tym odcinku nastąpią zmiany.

Po czwarte: należy na nowo rozpatrzyć sprawę samokształcenia, która w Polsce nie może spełniać ani roli zastępczej wobec szkół państwowych, ani też nie może w żadnym stopniu zwalniać tempa rozbudowy szkoły powszechnej i systematycznego szkolnictwa, Rola samokształcenia w Polsce może być i będzie uzupełniająca w stosunku do szkoły ogólnokształcącej.

Po piąte: należy dokonać rozróżnienia ustrojowego i prawnego między wykonawstwem pracy kulturalno - oświatowej a jej nadzorem, koordynacją i dyspozycją. Nie wolno przedłużać stanu, w którym na każdym odcinku miesza się pojęcie nadzoru z wykonawstwem pracy oświatowej przez organizacje społeczne. I należy wreszcie wpoić niektórym biurokratom zrozumienie, że nadzór, instrukcja, planowanie instancji państwowych nie zastąpią tego wielkiego ognia i wysiłku, jakie mogą wnieść tylko wielkie, masowe organizacje społeczne i społeczny wysiłek.

I wreszcie rzecz ostatnia i sądzę najważniejsza:

Czas skończyć z mówieniem o pracy kulturalno - oświatowej „w ogóle", jak o znachorstwie. Czas wreszcie stworzyć działy i kształcić kadry pedagogów albo przodowników pracy kulturalnej według specjalności. Praca na tym odcinku nie może być pracą w ogóle, nie może być uzależniona od upodobań pracownika kulturalno-oświatowego. Ten odcinek wymaga usystematyzowania naukowych prac badawczych, naukowego podziału. I tak jak nie istnieje dziś inżynier „w ogóle", a specjalność inżyniera drogowego jest zupełnie inna niż inżyniera chemika, tak samo pracownik kulturalny, działający na odcinku słowa drukowanego: bibliotek, likwidacji analfabetyzmu, szerzenia czytelnictwa — ma inną specjalność aniżeli pracownik na polu zagadnień wzrokowo - słuchowych: teatru amatorskiego, widowisk i chórów. Jeszcze inne zadania ma pedagog w uczelniach ludowych.

Czas skończyć ze stanem, kiedy wszyscy robią wszystko, kiedy praca kulturalno-oświatowa jest znachorstwem. Bez podziału funkcji i specjalności nie ma mowy o rozsądnym szkoleniu kadr.

✤

Wiele zmieniło się w ciągu ostatniego roku. Nie należy więc sekundować niektórym dyletanckim dziennikarzom, którzy nie wnikając w istotę rzeczy, są z wszystkiego niezadowoleni. Żyjemy w kraju, gdzie na każdym odcinku mamy furię pomysłów i dokonań, kraju, w którym drobnomieszczański pseudo - romantyzm ustępuje miejsca realistycznemu romantyzmowi a to już określa granice dla krytyki: nie może ona tkwić w kołtuństwie i plotkarstwie, intrygach i megalomanii. Krytyka również winna być realistyczna.

Powtarzam: żyjemy w kraju — jak to mawiał Stefan Żeromski — furii pomysłów i dokonań. I wielkiej, radosnej twórczości.

Kilka dni temu, bawiący u nas w gościnie prof. Julian Huxley cytował słowa człowieka z Zachodu, który przyglądał się atmosferze i wysiłkowi kraju. Ten człowiek powiedział:

„Dzieli nas z nimi nie żelazna kurtyna, ale kurtyna ich uśmiechu".

Jerzy Borejsza

TADEUSZ BREZA

Jak tu uciec od polityki?

Kongres w Kopenhadze

W tym roku PEN-Club zebrał się w Kopenhadze. Na Kongres, dwudziesty, jubileuszowy, przybyliśmy liczniej niż do Zurychu. Prócz Aleksandra Wata i Michała Rusinka, którzy reprezentowali Polskę w roku ubiegłym, zjawili się tym razem Jarosław Iwaszkiewicz, Leon Kruczkowski i niżej podpisany. Niestety, nie przybył Jan Parandowski, prezes polskiego centrum, zaproszony na zjazd jako gość honorowy. Kiedy po otwarciu zjazdu odczytano jego depeszę o chorobie, zjazd jednogłośnie postanowił przesłać mu jak najserdeczniejsze życzenia rychłego powrotu do zdrowia. Nie była to jedyna depesza, ale jedna z dwu, następną Kongres skierował do Maurycego Maeterlincka, prezydenta międzynarodowego PEN Clubu, osiemdziesięcio-sześcio-letniego, starszego pana, przebywającego stale w Ameryce, któremu lekarze wzbronili tak dalekiej podróży.

Z zeszłorocznego, ciekawego sprawozdania pt. „Bitwa pod Zurychem“, zamieszczonego przez Wata akurat rok temu, czytelnicy „Odrodzenia“ mogli się dowiedzieć przede wszystkim o jednym. O tym mianowicie, że pisarze z najróżniejszych krajów, dorwawszy się do siebie po latach wojennej rozłąki, od razu zajęli się polityką. I to nie polityką jako zjawiskiem, które pisarz winien badać, i nie polityką jako narzędziem w rękach szalonych polityków, ludobójczym i wojnotwórczym, które pisarz winien tępić, ale polityką w potocznym znaczeniu. Aleksander Wat szczegółowo omówił, w jaki sposób zjazd zmienił się w pole bitwy, gdzie musieliśmy się bronić, my, to znaczy delegacje krajów okupowanych w czasie wojny przez Niemców, przed mnóstwem taktycznych pociągnięć i manewrów, przemyślanych naprzód i próbujących na kongresie literackim realizować czysto polityczne cele. Chodziło wówczas o sprawę niemiecką. Anglicy z miejsca opowiedzieli się za wprowadzeniem bez żadnych zastrzeżeń Niemców na łono międzynarodowej organizacji, przezywając kraje, które domagały się selekcji, krajami malkontentów. Ale ostatecznie po stronie malkontentów stanęła opinia większości. Przyjęto więc zasadę weryfikowania każdego z Niemców z osobna przed dopuszczeniem go do jego własnego, niemieckiego PEN-Clubu. Cała ta sprawa jednak, sprawa przekształcenia zjazdu na jeszcze jedno boisko czysto polityczne, musiała zaniepokoić górę penklubową. Tym bardziej że wynik samych rozgrywek zdaje się także nie poszedł po jej myśli. Toż to właśnie profesor Denis Saurat, Francuz, ale gość honorowy z ramienia angielskiego PEN-Clubu, wiceprezydent całej organizacji, zatem druga osoba po Maeterlincku, rozpoczął w zeszłym roku proniemiecką akcję. Przegrał. Może więc uznał, że po tym wstrząsie PEN-Club wyszedł raczej osłabiony. Jest on zresztą organizacją wyraźnie słabszą w porównaniu z jej siłą sprzed wojny. Do Kopenhagi nie przybyli przedstawiciele wielu krajów, że z europejskich wyliczę choćby Bułgarię, Portugalię, Hiszpanię, Jugosławię, Rumunię. Dalsze demonstracje i posunięcia polityczne mogłyby się tylko przyczynić do jeszcze większego uszczuplenia PEN-Clubu „z tego troszkę co mu jeszcze zostało“ — jak się wyraził jego międzynarodowy sekretarz p. Herman Ould. Toteż Kongres w Kopenhadze rozpoczął się z mocnym postanowieniem, by nie tykać polityki.

Protektorat nad Kongresem objął król Danii, Fryderyk IX. Do komitetu honorowego weszło pięciu ludzi: minister oświaty, burmistrz Kopenhagi, dyrektor królewskiego teatru, dyrektor radia i rektor, który wygłosił przemówienie powitalne na otwarcie. Aby wysłuchać tego powitania, zasiedliśmy w pięknej auli uniwersyteckiej. Rektor O. A. Borum, strojny w togę i łańcuch, poświęcił swoje przemówienie zagadnieniom wolności, wolności słowa i wolności myśli, po nim imieniem PEN-Clubu mówił prof. Saurat, w imieniu duńskiego PEN-Clubu witał nas jego prezes Kai Friis Moller. Wreszcie zjazd przeszedł do tego, co miało stanowić tamę przeciw zalewom polityki, przeszedł do wysłuchania fundamentalnego referatu zjazdowego. Ten zasadniczy referat pióra popularnego powieściopisarza francuskiego starszego pokolenia, prezesa francuskiego PEN-Clubu, szefa trzydziestoosobowej delegacji francuskiej, p. Jean Schlumbergera, rozdano nam dnia poprzedniego. Było to posunięcie ze wszech miar celowe. Już to dlatego, że zawierzać swemu słuchowi, gdy p. J. Schlumberger czytał, było by lekkomyślnością, zwłaszcza że i akustyka w auli była nietęga. A poza tym dlatego, że inaczej w późniejszej, parodniowej dyskusji, zatarłby się nam tekst oryginalny. Mając zaś druczek przed oczyma, mogliśmy do niego powracać.

Nie od razuśmy powrócili. Mimo całej zapobiegliwości góry penklubowej pragnącej tym razem osłonić nas przed polityką, wpadliśmy w nią od razu. Zanim przystąpiliśmy do rozważań czysto literackich i ideologicznych, i do rozważań co uczynić możemy w najbliższym czasie dla wolności, pokoju i postępu, bo taka jest myśl przewodnia naszej organizacji, znowuśmy się uwikłali w politykę. I to nie po raz jeden jedyny w ciągu całego zjazdu, ale może po raz najgroźniejszy. Na szczęście nie na plenum, lecz na tak zwanej egzekutywie. Jest to ciało o wiele szczuplejsze od plenum. Wchodzą doń tylko delegaci oficjalni, a więc po dwu na grupę narodowościową, oraz członkowie honorowi, kórych jest tylko czternastu, a i to nie wszyscy na Kongres przybyli. Na egzekutywie ustala się porządek dzienny, ona również w pierwszym czytaniu rozpatruje wnioski i głosuje nad nimi, decydując, które przejdą na plenum. To również pralnia wniosków, tu mętnym wnioskom dodaje się klaru, a nazbyt szorstkim odejmuje się ich ostrość. W zasadzie o przebiegu Kongresu decyduje egzekutywa, obejmuje przecież przewodniczących wszystkich delegacji! Co oni rozwiążą na egzekutywie, bywa rozwiązywane w ten sam sposób publicznie, a czemu zamkną usta, temu nawet do głowy nie przyjdzie ujawnić się na plenum.

Ale zanim czemuś takiemu zamkną usta nieraz upłynie dużo gadania. Zaledwie przebrzmiały ostatnie słowa p. Schlumbergera, które miały nas zaczarować, kiedy poczuliśmy, że nie wszyscy chcą się poddać czarowi tej prelekcji, co zresztą byłoby zrozumiałe, ale również nie chcą się poddać dyscyplinie statutowej PBF-Clubu. Norwegowie rzucili się na Czechów. Nie pisałbym o tym, gdyż zasadniczo biorąc posiedzenia egzekutywy odbywają się przy drzwiach zamkniętych, ale właśnie to posiedzenie wyjątkowo odbyło się przy drzwiach z lekka uchylonych, a raczej przy drzwiach, które poczęły się uchylać tym silniej, im widoczniej wniosek norweski tracił na szansach, że dopłynie na plenum. Podkreślał on, że — „w wyniku komunistycznego zamachu stanu dokonanego przy użyciu siły, powstała dla literatury i dla prasy w Czechosłowacji sytuacja nie do zniesienia“ — i wzywał, by — „PEN-Club przeciw temu w sposób stanowczy zaprotestował“. — Czesi, p. Erik A. Saudek i świetna w każdym słowie pani Jirina Tiumova, odgadując w lot, na co ma istotnie apetyt Norweg, sprzeciwili się rozpatrywaniu wniosku na plenum natomiast oświadczyli, że służą informacjami, jeżeli sobie ktoś życzy je usłyszeć w czterech ścianach egzekutywy. Ale Norweg chciał pytać tylko publicznie. Zagroził, że jeżeli nie pozwolą mu wstawić wniosku do porządku dziennego, przeczyta go w wolnych głosach. Poczęli Norwega delikatnie mitygować Anglicy. Na to Norweg oburzył się i zarzucił Anglikom brak odwagi. — „Kolegowałem z Norwegami podczas wojny — odparł mu imieniem angielskiej delegacji dr Snow. — Pracowałem z nimi w pewnej sztabowej komórce dowództwa marynarki, nigdyśmy sobie wówczas nie zarzucali braku odwagi, zwłaszcza oni nam, my natomiast czasami zarzucaliśmy im pewien nadmiar uporu!“ — „I to właśnie jest przyczyną naszej dumy!“ — zawołał p. Wilhelm Keilhau, ów uparty Norweg. Zabrali się do niego z kolei Francuzi, reflektując go i pytając czy pewien jest tego, że to akurat Czechosłowacja jest na świecie ostoją niewoli słowa i proponując mu następnie z całą powagą, by zechciał przydać wagi swemu wnioskowi i rozbudował go jeszcze w oparciu o te fakty, o których niewątpliwie wiele słyszał w ostatnim miesiącu czy dwu. A więc o sprawę Pabla Nerudy, tudzież o sprawę komisji tzw. antyamerykańskiej albo chociażby o treść innego wniosku, który świeżo wpłynął do prezydium egzekutywy, wniosku Katalończyków-emigrantów, skarżących się na potworności cenzury w Hiszpanii, gdzie doszło do tego, że nawet Biblii z tekstem przygotowanym dla protestantów nie wolno drukować. Może by więc p. Keilhau spróbował — judzili Francuzi — ostrze swego wniosku obrócić przeciw tym wszystkim rzeczom, skoro taki odważny. Ale Keilhau nie zdążył się wypowiedzieć w tej sprawie. Natarli na niego Anglicy. PEN-Club jest ich domeną. Zaniepokoili się, by doprowadzony do ostateczności Keilhau, chwyciwszy za kolumny, na których wspiera się cały gmach, nie rozwalił go. W miarę jednak jak Keilhau, pod wpływem głosów dr. Snowa, Iwaszkiewicza, Węgra Tabori, Holendra van Vrieslanda przycichał, drzwi prowadzące do czytelni w Hotelu d'Angleterre poczęły się rozchylać. Sądzić było można, że zainteresowani tą kampanią przychodzą oglądać jej fiasko, tymczasem, zdaje się, że właśnie wtedy przybywała odsiecz. Przystąpiono do głosowania: za wnioskiem Norwega opowiedziały się dwie osoby, on sam i pani Stephanie Chandler z Belgii. Przeciw wnioskowi padło 19 głosów. Odsiecz jednak nie przyszła głosować. Nie po to. Odsiecz nie składała się z delegatów. Lecz z dziennikarzy. Na drugi dzień w prasie szwedzkiej, w „Dagens Nyheter“, ukazał się artykuł o całej kwestii. Przedruki z niego, uznawszy niedyskrecję już za uświęconą, podały pisma duńskie. Od tego dnia Kongres począł pilnować swoich drzwi baczniej.

Ale już nie było czego. Sprawa niemiecka, która wypełniła cały kongres zuryski, przez ciąg ubiegłego roku dojrzała. Anglicy i Niemcy przychylili się do poglądu państw „malkontenckich“, że weryfikacja ludzi, z których ma być odbudowany nowy niemiecki PEN-Club musi być ścisła i międzynarodowa. W Kopenhadze polska grupa wydelegowała do tak zwanej „komisji przygotowawczej“ Aleksandra Wata, zwanego na Kongresie „le kiloWat dynamique“, promotora „malkontenckiej“ opozycji zeszłorocznej. Komisja obradowała w nastroju poważnym, bez zgrzytów i bez wrogich wypadów, a przez ten czas na sali głównej debatowano w sposób idylliczny nad tekstem Schlumbergera. Nagle wpadł na podium p. H. Friedmann, z niemieckiego, emigracyjnego PEN-Clubu, zresztą urodzony w Brodach, i za zgodą prezydium wcisnąwszy się między dwu mówców, rozstrząsających prelekcję Francuza, odczytał jeszcze mokrą, ostateczną rezolucję komisji, której był członkiem. Ale w minutę później okazało się, że nie była ostateczna, że brak zakończenia, które Wat jej przydał w stylizacji Gabriela Audisio. Powiadało ono, że „Kongres przyjmuje do wiadomości z satysfakcją, że PEN Club niemiecki zakazuje sobie przyjmowania do swego łona pisarzy, którzy współdziałali z propagandą hitlerowską w szczególności w krajach okupowanych. Zakaz ten jest warunkiem podstawowym i wiązać ma PEN-Club niemiecki na stałe“. — Kongres jednak wyrozumiał niecierpliwość Friedmanna, któremu spieszno było donieść wszystkim, że komisja rozwiązała wreszcie sprawę niemiecką. Następnie jeszcze przemówił imieniem Anglików, Peter de Mendelssohn, członek literackiej komisji denacyfikacyjnej z angielskiej strefy, popierał wniosek komisji, omawiając szczegółowo listę dwudziestu pisarzy niemieckich, mających odbudować PEN-Club niemiecki. W ich imieniu przemówił J. Becher, który rozpoczął przemówienie od uczczenia pamięci Kaj Munka, znakomitego duńskiego autora dramatycznego, zamordowanego przez Niemców. Becher powiedział: — „Przemawiam do was po niemiecku, językiem, którym wstyd mi się do was odzywać. Jesteście pisarzami, jesteście jednostkami, jednostkom zawsze łatwiej przychodzi zdobyć się na przebaczenie i jednostki same decydują o swoim prawie do przebaczenia. Ale nie społeczeństwa! One nie umieją tak łatwo przebaczać i nie mają prawa łatwo decydować. Mimo to zwracam się za waszym pośrednictwem i za waszym wstawiennictwem o to przebaczenie“. — Wniosek komisji został przyjęty, lista dwudziestu, pierwszych dwudziestu, zaakceptowana. Z delegacji belgijskiej padł głos, żeby wniosek ten i tę listę przyjąć jednogłośnie. Nikt mu się nie sprzeciwił.

Kiedy sprawę niemiecką sfinalizowano, poprosił o głos delegat oficjalny Holandii Victor E. van Vriesland i imieniem swojej piętnastoosobowej grupy, w spokojnym i sceptycznym przemówieniu poprosił prezydium Międzynarodowego PEN Clubu o wyjaśnienie, czemu robi się tyle ceregieli z Niemcami, gdy jednocześnie przyjmuje się pisarzy japońskich z powrotem nie interesując się ich aktywnością podczas wojny. A było by czym! — sądzi Vriesland. Tyleż samo dało by się zarzucić pisarzom japońskim co niemieckim z tą jedynie różnicą, że trudniej było by znaleźć „dwudziestu sprawiedliwych“ wśród pisarzy kraju kwitnącej wiśni“. — Na te słowa poczerwieniały twarze członków prezydium jak owoce dojrzałej wiśni. Po chwili jednak podano z prezydium do wiadomości zjazdu następujące wyjaśnienie: — „Sytuacja obu PEN Clubów, niemieckiego i japońskiego, jest z gruntu odmienna. Japończyków nie potrzebujemy wskrzeszać, ani dwudziestu sprawiedliwych wynajdywać, a to z tego względu, że PEN-Club japoński nigdy nie został przez rząd japoński rozwiązany“. — W zakończeniu tego wywodu prawniczego prof. Saurat, który go przeprowadzał, uśmiechnął się z zażenowaną dyskrecją i wtrącił: „Ja zawsze stałem na stanowisku, że kongresy pisarzy nie powinny zajmować się sprawami ocierającymi się o politykę, nie tylko dlatego, że to polityka, ale również dlatego, że to jest pewna umiejętność. My zaś jej nie posiadamy“.

Wspomniałem wyżej już o sprawie katalońskiej, inną kwestią tego typu, nie polityczną, ale moralną, zajmował się Kongres z okazji wniosku, który postawił delegat Palestyny. P. A. Heldman, pisujący pod pseudonimem Ever Hadani, zwrócił się do Kongresu z prośbą, by Kongres przesłał wyrazy współczucia i otuchy pisarzom Izraela, wyrażając nadzieję i pragnienie, by pisarze ci wyszli cało z okropności wydarzeń w Palestynie i, wzmocnieni ich doświadczeniami na sercu i umyśle, bogacili nadal tę literaturę, której pierwszym wyrazem była przecież najbardziej ważka i największa z Ksiąg. Nieoczekiwanie delegat Indii przemówił za Arabami. — „Czemuż z okazji okropności wydarzeń, jakie się rozgrywają w Palestynie — zapytywał — przesyłać wyrazy otuchy tylko Żydom? Będę głosować za wnioskiem p. Heldmana — oświadczył — jeżeli p. Heldman zgodzi się na uzupełnienie tego wniosku i na takie same wyrazy otuchy i sympatii dla pisarzy arabskich!“ — Przeciw takiemu stawianiu sprawy zaoponował Wat. — „To było by umywanie rąk — stwierdził. — Przesyłać i tym i tamtym? Tyle samo wyrazów tym, co i tamtym? To znaczy w praktyce ani tym, ani tamtym. Tymczasem sytuacja jednych i drugich nie jest taka sama. Właśnie w sprawie żydowskiej Palestyny, Izraela, jest coś, co zdolne jest przemówić w specjalny sposób do wyobraźni pisarza. Proszę się tylko wmyśleć: po dwudziestu wiekach powrót do swego gniazda, do ziemi obiecanej, do ziemi odzyskanej! Jest w tym element w najwyższym stopniu przejmujący. I to niezależnie od myśli o niedawnym losie Żydów, a cóż dopiero kiedy się te obie myśli z sobą powiąże“. Po tej wypowiedzi wniosek delegata Palestyny przeszedłby w pierwotnym brzmieniu, ale sam delegat Palestyny go zmienił. — „Mnie nie o to chodzi — rzekł — by Zjazd nie posyłał pisarzom arabskim słów otuchy, ale o to, by takie słowa przesłał pisarzom Izraela. Wśród pisarzy świata arabskiego z pewnością znajdują się ludzie, którzy walczą o sprawiedliwość i o postęp, i o wolność, i o prawo. Jeżeli Zjazd sobie tego życzy, może mój wniosek dopełnić. Po czym p. Heldman przeczytał swój wniosek i sam przestylizował cudze uzupełnienie. Wniosek teraz zmienił się w serdeczną odezwę PEN-Clubu do pisarzy Izraela. I wspomniał o sprawiedliwych spośród pisarzy arabskich. Utracił więc swe początkowe akcenty antyarabskie.

Tyle było na Kongresie spraw politycznych, semipolitycznych i polityczno-moralnych. Ach i jeszcze jedna! Wniosek p. Francis Weissa z delegacji brytyjskiej, wniosek, zdaje się, samozwańczy, o uznanie języka angielskiego za podstawowy język Zjazdu. Nie był to jednak wniosek polityczny, a nawet przeciwnie, był to wniosek wręcz niepolityczny. W sposób najbardziej gwałtowny sprzeciwiła mu się delegacja angielska. Bo też rzeczywiście co zanadto to nie zdrowo! Kongres przeszedł nad nim do porządku. Czas był najwyższy. Z osiemnastu godzin pięciodniowego kongresu, przeznaczonych na debaty, kwestie poza ściśle literackie zabrały nam połowę czasu. A tymczasem tezy Schlumbergera czekały na odprawę. I nie tylko one. Czekało, by udzielić im swych replik zapisanych do głosu, dwadzieścia osób.

Tadeusz Breza



Siedzą od lewej ku prawej: rektor uniwersytetu w Kopenhadze O. A. Borum, prezes PEN-Clubu duńskiego Kaj Friis Moller oraz Jean Schlumberger



Kaj Munk znakomity dramaturg duński, pastor ewangelicki, jeden z duchowych przywódców duńskiego ruchu oporu, nieustraszony w słowie i piśmie, w r. 1944, po wielokrotnych incydentach z władzami okupacyjnymi, zamordowany skrytobójczo przez Niemców



Stoją od lewej ku prawej: głośny duński pisarz polarny Peter Freuchen, jego żona Dagmara Freuchen, malarka amerykańska, ilustratorka „Vogue“, Jarosław Iwaszkiewicz, Aleksander Wat, Tadeusz Breza (z tyłu), Leon Kruczkowski i Michał Rusinek

WIKTOR WOROSZYLSKI

PIEŚŃ O KOMPANII WSCHODNIO-AZJATYCKIEJ

giełdy całego świata podobne do karuzel
szczyt wyśpiewują brzuchacze każdy jest Carusem
pugilares czerwonogębego romantyczną miłość wysłowi
marynarki uskrzydlonej trzepot prezes zachłyśnie się słowik

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

six hawaian swingers z łona drewnianej dziewki
saksofonów egzotyczny owoc zrywają refren
kolonialnymi deszczami opada na lśniący parkiet
pod parasolem dniówki ocierają się parki

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

boy z dziesiątego piętra marzył o wielkim okręcie,
sterował korkiem licznika, spadł na dno najkrótsze spięcie
surowy portier rażony nie zalśnił i nie zgasł z hukiem
zadzwonił do elektrowni boya wykopał na bruk

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

blade z dzielnicy ogrodów zazdroszczą łydkom i biodrom,
na sprzedaż w porcie wesołym, gdzie marynarski hippodrom
świat mały srebrna moneta bliski pojutrze odjazd
żagle Vasco de Gamy motorów jednaka melodia

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

książka dzieciństwa nagle ekran zastygły w kinie
fale mórz południowych powieść o żółtym rekinie
ziemia brunatna okrągła bogata dobra
wiersze Swinburne'a złoto ryż ananasy kopra

o kompanio wschodnioazjatycka
o wschodnioazjatycka kompanio

jedyny, sprawiedliwy usta zapala z trzaskiem
saksofonowy ekep szturmuje gorącym hasłem
bywa różnie powiada, bywa tak i inaczej
rewolucja płonie u towarzyszy w zanadrzu

o kompanio wschodnioazjatycka
o kompanio wschodnioazjatycka
o kompanio
o wschodnioazjatycka kompanio

Kopenhaga, 1946

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

SPOTKANIA CZESKIE

Oglądając się za siebie po miesięcznym pobycie w Czechosłowacji, widzę nie przepiękną, ożywioną Pragę, nie spokojne, dobroduszne Brno, ale przede wszystkim ludzi. Ich obraz, treść prowadzonych rozmów i atmosfera, w jakiej się toczyły, przesłaniają mi krasę barokowych pałaców, olśniewającą urodę katedry św. Wita, niespodziankę czarującej Złotej uliczki czy ponurość Szpilbergu.

Co uderzało mnie najbardziej w zetknięciu z tymi ludźmi, to ich niekłamana sympatia do Polski i zdumiewająca znajomość naszego życia kulturalnego, naszej literatury, a często i języka. Już nie mówię w tej chwili o literatach albo specjalistach, jak prof. Krejczi, ani o ludziach stojących na czele Towarzystwa łączności kulturalnej z Polską, jak dr Maxa w Pradze czy przemiły prof. Kolaja w Brnie, ale i ich współpracownicy, cały zespół wydziału polskiego w Ministerstwie Informacji z inż. Malkiem na czele — wszyscy ci ludzie imponowali mi swoją niepowierzchowną bynajmniej wiedzą o Polsce, którą wielu z nich dobrze zna, ba, niejeden z nich nawet odbywał w niej studia. Mój przyjaciel z obozu koncentracyjnego, nauczyciel szkoły specjalnej dla niedorozwiniętych, orientuje się w naszej literaturze z przekładów. Mój cicerone, urzędnik Ministerstwa Informacji i matematyk z zawodu, wcale dobrze tłumaczy sportowe wiersze Wierzyńskiego. Nauczyciel gimnazjalny z Brna mówi świetną polszczyzną, posiada bogatą bibliotekę polską i sprowadza sobie przez księgarnię wszystkie nasze czasopisma literackie. I przykładów takich można by przytoczyć mnóstwo.

Literaci. Ściślej mówiąc poeci. Znałem wielu z ich wierszy. Wielu z nich tłumaczyłem. Łatwo więc było znaleźć nić porozumienia. Ale obcując z nimi odczuwałem zawsze, że bliscy sobie jesteśmy w dużym stopniu i dlatego, że kontynuujemy tradycję braterstwa pióra, zapoczątkowaną przez przyjaźń Mickiewicza z Hanką. Że to Polak i Czech.

*

Oto siedzę w gabinecie szefa wydziału filmowego Ministerstwa Informacji. Ten sympatyczny pykník z żywymi błyskami w oczach, to świetny poeta Vitiezslav Nezval, twórca t.zw. poetyzmu, skłaniający się i ku surrealizmowi, by wreszcie za przykładem Eluarda przejść w ostatniej książce do absolutnej prostoty wyrazu. Nezval prosi mnie o odczytanie którejś z pieśni „Edisona" (ulubione jego dzieło), później „Nieznajomej z Sekwany" i drobniejszych wierszy. Co chwila przerywa mi żenującymi okrzykami zadowolenia. Pokazuje te przekłady swojej sekretarce, telefonuje o nich swemu koledze. Ile życia i południowego temperamentu w tym na pozór ciężkim grubasie! Nadchodzi jego przyjaciel, też poeta — Biebl. Powtarza się to samo. Nezval przypomina swą znajomość z Simonowem i porównuje dwa przekłady — rosyjski i mój — jednego ze swych wierszy. Rozstajemy się serdecznie, jak gdybyśmy się znali od lat.

Ale urok tego poety odsłonił mi się w całej pełni w innych okolicznościach. Było to w Dobrzyszu po dość nudnej atmosferze obiadowej, gdy większość literatów (poznałem wtedy m. i. Drdę, Hofmeistera, Kolarza, Pilarza, Teifera — tłumacza poezji rosyjskiej i in. oraz Rogera Vaillanda, gościa francuskiego, który właśnie skończył w tym dniu swą ostatnią powieść) opuściła zamek wcześniej, gdyż miała jakieś zebranie. Pozostało nas kilkoro. Rozmowa przeskakuje z tematu na temat. Proszą mnie o odczytanie kilku przekładów. Doradzają, kogo warto tłumaczyć, kogo nie można ominąć. Młody krytyk, redaktor „Listów" Chalupecki przynosi mi z półki bibliotecznej tom poezji Tomana, którego gorąco poleca. Ukazują się na stole dwa zeszyty „Listów" — w jednym z nich wiersze obecnej wśród nas młodej, sympatycznej poetki Jirziny Haukovej. Nezval przypomina sobie, że przyniósł dla mnie kilka nowych książek, otrzymuję je z przyjacielską dedykacją.

Po raz trzeci spotkałem się z Nezvalem znowu w odmiennych okolicznościach: na wieczorze polsko-czeskiej poezji w niebieskim salonie restauracji „Klubu Narodowego" na Przykopie, gdzie stale w poniedziałki wieczorem zbierają się Czesi interesujący się Polską i garść miejscowej Polonii. O szerokim zainteresowaniu tą pożyteczną akcją Towarzystwa Łączności Kulturalnej i Gospodarczej z Polską świadczyć może fakt, że jeden długi stół zajęty był przez kilkunastu młodych adeptów szkoły oficerskiej, którzy mając tyle możliwości spędzenia wolnego czasu w teatrach lub na koncertach przybyli tutaj. Byłem w tej restauracji już przed dwoma tygodniami na koncercie muzyki i pieśni polskiej z udziałem Maklakiewicza i wtedy odczytałem trzy swoje przekłady. Obecnie wieczór był pomyślany na szerszą skalę. Miałem odczytać kilka wierszy własnych i kilka tłumaczeń w ten sposób, by tekst był dwujęzyczny. P. Parma przełożył dwa moje wiersze na czeski, utwory poetów czeskich przed każdym moim przekładem recytowała w oryginale para studencka. Był i Nezval, który sam odczytał piątą pieśń „Edisona", poprzedziwszy mój „występ" przesadnymi superlatywami na temat wartości przekładów. A gdy odczytałem wiersz napisany w Pradze specjalnie dla niego, podszedł do mnie i ucałował serdecznie, co sala przyjęła gorącymi oklaskami. W ten sposób publicznie został przypieczętowany pakt przyjaźni polsko - czeskiej na gruncie poezji.

Nezval, nawet w sposobie bycia trącącym nieco dawną cyganerią, ma w sobie coś z poety, nie rozstaje się z beretem, jest dość niedbały w obejściu, pamięć ma fenomenalną, wciąż sypie cytatami. Ten zapał, ta pasja do piękna we wszystkich jego przejawach, do podróży, do życia, to zbytnie, jak mówią złośliwi, zainteresowanie jego kobietami, to wszystko składa się na typowy poniekąd, choć niedzisiejszy, obraz poety. To nie znaczy, by nie interesowały go sprawy społeczne i narodowe, o czym może zaświadczyć jego ostatnia, słabsza zresztą od dawniejszych, książka „Obraz historyczny". Jest członkiem partii komunistycznej, jak podobno 80 proc. literatów czeskich.

O spotkaniu z Halasem wspomnę później. Do Seiferta nie miałem szczęścia. Za to poznałem Vilema Zavadę, również jednego z czołowych współczesnych poetów czeskich, którego odwiedziłem w Clementinum, w bibliotece uniwersyteckiej. Patrząc na tego ogolonego, nie łysego jak Pilarz, nie siwego jak Halas i nie grubego jak Nezval sympatycznego pana myślę sobie, jaki jest inny od tamtych. Spokojny, opanowany w ruchach i słowie, niezmiernie uprzejmy. Rozmawiamy o moich przekładach jego wierszy, z których posiadam tylko zbiorek „Wieżę zamkową". Obiecuje mi przysłać dwa inne. Zwłaszcza idzie mi o „Panichidę", o której mi z takim entuzjazmem opowiadał Nezval. Brat Zavady tłumaczy z polskiego, on nie zna naszego języka, za to przekłada poetów jugosłowiańskich. Przygotowuje do druku nowy zbiorek wierszy. O współczesnej poezji czeskiej wypowiada się z pewną rezerwą, twierdzi, że za dużo ukazuje się nowych zbiorków, a taka inflacja poezji może być groźna. Radzi tłumaczyć Holana i Horzeiszego.

Zavadzie zawdzięczam zwiedzenie biblioteki uniwersyteckiej — potwornej, bo liczącej sześć milionów skatalogowanych książek! P. Urbankova, bibliotekarka, pokazuje mi największe sanktuarium — zamknięte w skarbcu pięćdziesiąt z górą eksponatów najstarszych rękopisów czeskich, z których Kodeks Wyszehradzki pochodzi z roku 1085! Psałterze, biblie, brewiarze, glossy — zabytki z wieku XIII, XIV i XV, rękopisy Husa i Wiclefa. Cudowne inicjały, misterne kolorowe ornamenty — ile lat żmudnej pracy przepisywacza! Aby mi sprawić niespodziankę, przynosi mi p. Urbankova dwa skarby polskie: „Psałterz Dawidów" i „Pieśni" Kochanowskiego (rok 1585 i 1586 wyd.) — oprawne razem i „Zwierzyniec" Reja (r. 1562, drukarnia krakowska Lazara).

W czasie czterodniowego wypadu do Brna zetknąłem się z innym środowiskiem literackim. Byłem w siedzibie t.zw. „Koła Pisarzy Morawskich" (zrzeszającego 170 członków-pisarzy i 10 tysięcy czytelników), gdzie poznałem m. i. jednego z najwybitniejszych prozaików czeskich, Vaclava Prokópka. Piękna jego książka dla młodzieży „Nasze źrebiątka" (konie to ulubiony temat Prokópka) powinna bezwzględnie doczekać się przekładu polskiego. Rozmawiam z prozaikiem i krytykiem Stupką, młodym poetą Popelarzem. Opowiadają mi o pracach Koła i jego na szeroką skalę zakreślonym wydawnictwie. Oglądam prześlicznie wydane książki, m. i. i „Ład serca" Andrzejewskiego. Wydawnictwa Koła ujęte są w pewne cykle, tak więc „Sad" (12 pozycyj) obejmuje tylko poezję, „Korona" — klasyków, „Most" — rzeczy krytyczne i essaye, „Radovanki" i „Slunecznice" — książki dla młodszych i starszych dzieci. Koło wydaje rocznie od 20 do 30 książek, ma również swój miesięczny organ p.t.: „Kolo".

Odwiedzam i wydawnictwo b. więźniów politycznych, rewolucjonistów narodowych i żołnierzy zagranicznych — „Mir". Założycielami jego są poeci Habrzina i Zatloukal. W ciągu dwu lat ukazało się 45 książek, w tym osiem poetyckich. Podobnie jak i „Kolo" mają swój miesięcznik „List". W siedzibie „Miru" poznaję też prozaika Jarolima Schäfera, który mnie obdarza swą ostatnią powieścią z czasów wojny „R. U.".

Z tyloma ludźmi rozmawiałem w Pradze, tylu poznałem literatów, niektórych tylko przelotnie w kilkuminutowej rozmowie, jak liryka i tłumacza poezji hiszpańskiej Fr. Nechvatala, innych w dłuższej pogawędce, jak Drahoslava Gavreckiego z Morawskiej Ostrawy, mówiącego doskonale po polsku, który mi opowiedział wiele ciekawych szczegółów z życia Śląska Cieszyńskiego — ale nie sposób tu wszystko przytaczać! Jednak o kilku jeszcze spotkaniach literackich wspomnieć tu muszę. O tych pisarzach, którzy swą piękną pracą przekładową przyczyniają się prawdziwie do zbliżenia naszych bratnich narodów.

P. Helenę Taigovą poznałem jeszcze w Polsce bawiąc w lipcu 1946 r. w Sopocie. Już wtedy dowiedziałem się o jej pracy i projektach przekładowych i teraz idąc do jej mieszkania w oddalonej dzielnicy praskiej ciekaw byłem, co z nich zdążyła zrealizować.

Na mój dzwonek odpowiada mi z okna. Za chwilę sama schodzi na dół i otwiera furtkę od ulicy. Piękne mieszkanie, pełne książek, hall i trzy pokoje na dole, schodki na górę, pod oknami za zasłoną oranżeria. Pokazuje mi sześć książek wydanych po wojnie. Ale nie wszystko ma pod ręką, wiele rzeczy jest w druku i ukaże się wkrótce, wiele na warsztacie. Dorobek imponujący. Bo czegoż tam nie ma! I „Cudzoziemka" Kuncewiczowej, i „Dymy nad Birkenau" Szmaglewskiej (pierwszy nakład 20 tys. egz., drugi 10 tys.), i „Noc" Andrzejewskiego (8 tys. egz.), która miała najlepszą krytykę w czeskiej prasie literackiej, i „Kordian i cham" Kruczkowskiego, i niemal cała Gojawiczyńska, i „Miasto niepokonane" Brandysa, i „W krainie milczenia" Żukrowskiego, ba, nawet Szajnocha, którego „Walkę o cześć kobiety" w pięknej szacie graficznej otrzymuję z miłą dedykacją. Najmniejszy nakład tych książek — 5 tysięcy egz. Niektóre z nich zostały przełożone jeszcze przed wojną, ale w „Protektoracie" nie mogły się ukazać.

Obecnie p. Teigova pracuje nad Uniłowskim („20 lat życia") i antologią noweli polskiej o ogromnej rozpiętości, bo od Dąbrowskiej, Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Pruszyńskiego i in. aż po Sandauera, Hertza, Borowskiego i Papugę — około 20 autorów! W projekcie „Płomienie" Brzozowskiego, „Lalka" Prusa i trylogia Gołubiewa. „Placówka" w jej nowym przekładzie i „Szkice historyczne" Szajnochy ukażą się w wyd. „Biblioteki Słowiańskich Autorów Klasycznych", gdzie już wyszła „Stara baśń" Kraszewskiego w tłumaczeniu dr. Beczki.

Rozmowa schodzi na innych tłumaczy prozy polskiej, na p. Galasovą i Heczkovą. Nikt jednak nie ma za sobą takiego olbrzymiego dorobku pracy. Żartobliwie mówię do p. Teigovej, że powinna otrzymać najbliższą nagrodę polską za przekłady. Odpowiada śmiejąc się, że może jeszcze poczekać, że pierwsza powinna przypaść za tłumaczenia poezji, a więc przede wszystkim sędziwemu Adolfowi Czernemu za „Króla Ducha", albo Halasowi czy Matouszowi za Mickiewicza i Słowackiego. Uderzony ogromem jej osiągnięć przekładowych zapytuję o technikę pracy. Tłumaczy tylko do obiadu, mniej więcej dziesięć stronic dziennie, pisze od razu na maszynie, jak mówi „myśli do maszyny". Rzadko przełoży jeszcze coś po południu, przeznaczając resztę czasu, przeważnie wieczór, na lekturę.

Ale Czesi tłumaczą nie tylko naszą prozę. Oto przed dwoma laty ukazał się świetny przekład „Anhellego", dokonany przez Józefa Matousza. Książka ukazała się w przepięknej szacie graficznej, ozdobiona drzeworytami Franciszka Koblika. Jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów czeskich Franciszek Halas wydał niedawno u Melantricha „Grażynę", „Konrada Wallenroda", „Dziady" — wszystkie części, nie wyłączając fragmentów pierwszej i Ustępu. Słusznie otrzymał za tę pracę odznaczenie nasze. Przekład mistrzowski. I co dziwniejsza Halas nie mówi po polsku. Ten ujmujący człowiek z piękną, przedwcześnie siwą czupryną nie znajduje słów zachwytu dla naszej poezji romantycznej. Obecnie pracuje nad przekładami „Lilli Wenedy" i „Balladyny". Ostatnia ma się ukazać na scenie jednego z teatrów praskich. W swej pracy korzysta z pomocy Matousza, który tłumaczy mu dosłownie tekst poetycki prozą, a przekład ten Halas później, wnikając w budowę utworu, ubiera w szatę wierszową.

Jeśli Halas, jak dotąd, przyswaja językowi czeskiemu naszą poezję romantyczną, poetów współczesnych tłumaczy najwięcej Jan Pilarz. Spędziłem w jego gościnnym domu na miłej rozmowie przy winie, kawie i papierosach sześć godzin. Przybył nasz wypróbowany przyjaciel, polonista prof. Krejczi, którego odwiedziłem przed kilku dniami, i jeszcze bardziej ożywił nasze zebranie.

Pilarz to młody poeta. Ma lat trzydzieści, co nie przeszkadza, że posiada ogromną łysinę od czoła aż ku tyłowi głowy. W ogóle stwierdziłem, że wśród literatów czeskich łysina jest modna. Poznaję panią domu, sympatyczną młodą kobietę w okularach, mówiącą trochę po polsku. Pilarzowie mają najmilsze wspomnienie z niedawnego miesięcznego pobytu w Polsce. Byli tam z Teigovą i prof. Krejczim. Bawili na Śląsku, odwiedzili Kraków, Warszawę i Poznań, ale do morza nie dotarli. Pilarz pragnąłby ogromnie poznać Bałtyk.

I Pilarz, który ma za sobą liczne przekłady współczesnej poezji polskiej, nie włada polszczyzną. Tłumacząc korzysta z pomocy prof. Krejcziego, z którym jest na stopie przyjacielskiej. Przed rokiem ukazała się w jego przekładzie antologia powojennej poezji polskiej „Pochodnia". Pisałem kiedyś o niej w „Nowinach Literackich" i miałem pewne zastrzeżenia co do niektórych wierszy, uważając, że przekład jest zbyt swobodny. Pilarz przekłada obecnie wiersze dla dzieci Brzechwy, przygotowuje antologię z Tuwima, tłumaczy Gałczyńskiego. Przyswoił również kilka wierszy Przybosia. Zwracam jego uwagę na Czechowicza i obiecuję przysłać kilka tekstów najlepszych jego wierszy.

Wracamy po drugiej w nocy z prof. Krejczim, który opowiada mi o swej pracy uniwersyteckiej. Wykłada obecnie dobę pozytywizmu. Liczba słuchaczy studiujących polonistykę z każdym rokiem wzrasta.

Oprócz Pilarza i wspomnianego już Jarosława Zavady współczesną poezję polską tłumaczą jeszcze Gajdosz, Gavrecki, Hofmeister, Sojka, Skala i wielu innych. Prof. Parma, urzędnik Ministerstwa Informacji, który mi stale dotrzymywał towarzystwa w teatrach i winiarniach, ma, jak już wspomniałem, nie drukowany jeszcze przekład „Lauru olimpijskiego" Wierzyńskiego.

Gdy tak myślę o ogromie pracy przekładowej dokonanej przez naszych przyjaciół i porównuję z tym, co się w tej dziedzinie dzieje na naszym gruncie, wstyd mi się robi. Jeszcze z powieścią jako tako. Ale Czesi mają przecież świetną poezję i tacy autorzy, jak Halas, Holan, Nezval, Seifert czy Zavada, że wymienię tylko kilku, zaciekawiliby z pewnością polskiego miłośnika mowy wiązanej. Czas największy pomyśleć o antologii współczesnej poezji czeskiej nie tylko, żeby się zrewanżować Pilarzowi, ale przede wszystkim dlatego, że poezja ta jest piękna.

Kazimierz Andrzej Jaworski

WOJCIECH ŻUKROWSKI — rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca

13)

— Proszę księdza, na nic taka robota, grunt ścięty jak żelazo, dzióbie się tylko po wierzchu, do jutra nie wykopiemy dołu.

— Trzeba więc pomalutku, dziś trochę, jutro resztę. Jakby Jan wrócił, to by pomógł.

— Nie! Trzeba inaczej, nie na siłę, tylko z głową — zapalimy ognisko, ziemia odmięknie. Przyniosę słomy ze stodoły, a ksiądz niech przywlecze gałęzi. Tam za drzewami jest cały stos suszu.

— Myślałem już o tym, ale ogień daleko widać, lepiej w taki czas niczyjej uwagi nie ściągać...

— Przecież się uspokoiło całkiem, myślę nawet, że już po wszystkim. Zresztą ksiądz nie musi stać w świetle.

— No tak, uspokoiło się, już i rakiet nie widać... Chyba się Niemcy w las nie będą pchali, można spróbować.

— Zresztą góra zasłoni! Zaraz przywlokę słomy, bo trzeba będzie sporo, nim ziemia odtaje.

— A niech się pan nie zlęknie, bo na klepisku leży tamten...

Wszedłszy do stodoły, sięgnął Tadeusz za deski sąsieka, zapuścił rękę w słomę, gdzie Jan zwykle chował powróz, gdy zmieniał pod końmi ściółkę. Omijając oczami białawy kształt przysłonięty prześcieradłem, nasmykał słomy, zaciągnął kluczkę, gniotąc kolanem gruby snop. Zarzucił go sobie na plecy. Wrota stodoły bezszelestnie zamknęły się same, przepłynęły wolno powietrzem, dopiero drąg zaklekotał krótko o deski.

— No jestem. Czy ma ksiądz zapałki?

— Zapałki i zapalniczkę, jestem palaczem i pesymistą — zaśmiał się w ciemności.

Ogień żółtymi jęzorami podwinął noc, zatrzeszczały gałązki iglaste, prysnęły iskrami. Śnieg zaświecił czerwono.

— Znowu tracę czas — pomyślał niecierpliwie Tadeusz — trzeba wiać.



— Niech się ksiądz lepiej cofnie pod drzewa, ostrożność nie zawadzi... Ja też zejdę ze światła.

Lekko przesunął się między krzewami, zapadł w park. Ogień parskał, tłumił odgłos kroków i przyciągał oczy.

— No, teraz mogę sobie papierosa zakurzyć — powiedział ksiądz — potem jak się we dwóch weźmiemy... Panie Tadziu! Gdzież się pan schował?

Obszedł ognisko po krawędzi blasku.

— Uciekł mi szelma, boi się roboty...

Stanął pod drzewem zaciągnął się chciwie dymem papierosa. Ale ogień szybko gryzł gałęzie, przygasał, musiał wlec nową stertę, dorzucać i przegrzebywać syczące popielisko.

Właśnie był zajęty zwalaniem całego naręcza, gdy usłyszał jak ktoś nadchodzi, był pewny, że to Tadeusz, więc nie odwracając się zawołał:

— Myślałem, że już się panu sprzykrzyło! Patrz pan, taje, aż para idzie!

— Pater! Pater, jak mam iść do szosy?

Usłyszawszy słowa szeptane po niemiecku ksiądz odwrócił się gwałtownie. Za nim stał żołnierz z ręką na temblaku, ciężki hełm rzucał mu cień na miękkie, chłopięce wargi. W zwieszonej lewej ręce trzymał rewolwer, lufę krył w fałdach płaszcza.

— Gdzie pan chce iść?

— Do miasta. Gdzie jest szosa? Czy byli tu już bolszewicy?

— Nie, nie ma ich jeszcze.

— To może są Niemcy? — zapytał z nadzieją.

— Ostatni wycofali się w południe. — Ksiądz z trudem dobierał słowa, mówił słabo po niemiecku, powoli budowane zdania brzmiały poważnie, niemal władczo. — Zostaw to — powiedział wreszcie, wskazując na rewolwer.

Żołnierz ukrył zbrojną pięść za plecami.

— Jestem ranny! — zaskomlił — Cały dzień nie jadłem!

— Póki ściskasz broń w garści, ani myślę ci pomagać. Masz nade mną przewagę, jesteś wrogiem... No, spróbuj do mnie strzelić, zaraz się tu zlecą Rosjanie...

— Dobrze, oddam broń, a potem pater mnie wyda na śmierć...

— Jeżeli naprawdę tak myślisz, to po co u mnie szukasz ratunku? Nie będę cię ukrywał, gdy tu przyjdą Rosjanie. Ale teraz, jeżeli będziesz już tylko rannym, cierpiącym człowiekiem, mogę cię wyprowadzić na drogę.

— Niech pater bierze — wyciągnął rewolwer, trzymając go za lufę — Wierzę, że mnie pater nie skrzywdzi...

Ksiądz odebrał mu broń i cisnął daleko w ciemność, słyszeli, jak zaryła się w śniegu. Teraz ranny zaczął szeptem:

— Rosjanie nas obeszli, już w południe mieliśmy ich na tyłach. Nie pozwolono nam się wycofać. Byłem ranny, poszedłem na punkt opatrunkowy, ale już nie wróciłem do kompanii. Strzelano ze wszystkich stron. Cały dzień przeleżałem w krzakach. Ja dopiero tydzień jestem w Polsce! Ja naprawdę do nikogo nie strzelałem...

— Ale dziś Niemcy, żołnierze jak ty, zabili u nas jeńca.

— To nie ja, pater, to przecież nie ja!

— Pewnie, że nie ty! Gdybyś był z nimi, nie pytałbyś mnie o drogę.

— Gdzie mam iść? Jeszcze mi noc zostaje, może dogonię batalion.

— Jeżeli nie ma na twoich rękach krwi, czego się lękasz? Noc długa, Rosjanie dopiero na rano zejdą w dolinę. Idź tam, na dole jest zamek, zobaczysz światło, zapukaj do kuchni, dadzą ci jeść. Potem pójdziesz, droga jest prosta, jak miniesz bramę, na lewo do miasta.

— Niech pater mnie odprowadzi, boję się sam! Jestem bezbronny...

— Nikt ci krzywdy nie zrobi, my rannych nie zabijamy, idź.

— Ale pater mnie nie posyła na śmierć, pater nie kłamie?

— Nie, wiesz, że nie kłamię. Uciekaj już — powiedział rzucając w ogień garść chrustu.

Niemiec cofnął się w ciemność, zaświecił jeszcze trójkątem białej płachty.

— Ja jestem ranny, ciężko ranny, niech mnie pater nie zdradzi!



Odszedł jeszcze dwa kroki i odwróciwszy się zawołał:

— Grüss Gott!

Uchodząc, nie spuszczał oczu z księdza, który wpatrywał się w płomienie, potem natrafiwszy plecami na krzaki, zaczął biec.

Ksiądz Horbaczewski jeszcze przed chwilą tryumfujący, dumny ze zwycięstwa stał teraz bez słowa, nie potrafił się modlić ani przebaczać.

Niemiec doszedłszy do ścieżki zawahał się, w pierwszej chwili chciał ominąć zabudowania, ale po paru krokach w grubym śniegu, zawrócił i przez podwórze zmierzał ku drzwiom w oficynie.

Powoli, kierując się więcej instynktem niż wzrokiem, wodząc dłonią po ścianie dotarł do kuchni. Gdy zapukał, Ratajczakowa poderwała się, podbiegła do drzwi i otwarła je gwałtownie.

— Dobry wieczór! — powiedział.

Cofnęła się o krok.

— Co pan tu chce? — Mówiła płynnie po niemiecku, to go uspokoiło.

— Jeść, ale szybko!

— Rozbili was?

Wydało mu się, że lepiej tego nie zdradzać, bał się przyznać, że jest sam, więc powiedział wykrętnie.

— Jestem ranny, zabłądziłem.

— Zaraz panu dam jeść, tylko muszę przygrzać. Dobrze, że jeszcze ogień trzymamy pod kuchnią.

Szybkimi ruchami dobyła garczek, nalała mleka, postawiła na blasze. Nałamała patyków na kolanie, wepchała w piec ze złością, aż popiół zadymił. Dreptała po ca-

Sprawy

3 KWIETNIA 1949

Nie możemy w tym roku skarżyć się na niedostatek obchodów i uroczystości. Stulecie Wiosny Ludów coraz to daje ku nim sposobność, na murach miast i pobojowiskach przybywa tablic pamiątkowych, z archiwów i starych czasopism wynikają na światło dzienne mało znane dotąd materiały, a zapowiedziane i już ujawnione drukiem wydawnictwa naukowe związane z tą rocznicą dowodzą, że na pewno nie pozostaniemy tutaj jedynie w zasięgu obchodowego frazesu i pamiątkowego kamienia. Że wykonana zostanie solidna praca naukowa, której wyniki świadczyć będą wobec potomnych, czym dla wiedzy historycznej Polski Ludowej było stulecie 1848 roku.

Również pesymiści, którzy bili na alarm, że stulecie śmierci Chopina, przypadające wiosną przyszłego roku, zastanie nas nieprzygotowanych, wyraźnie się uspokoili. Ogólnopolski komitet obchodu Roku Chopinowskiego, jego plan uroczystości, koncertów i wydawnictw zdaje się zapowiadać, że nie powstydzimy się przed światem pamięci o artyście, o którym, jedynym bodaj z dorobku naszej kultury, świat naprawdę pamięta. Dlatego piszę ostrożnie, „zdaje się zapowiadać", ponieważ rzecz w tym, o ile ów program, szczególnie w swej niełatwej części wydawniczej, zostanie naprawdę wypełniony. Wreszcie na jesieni tego roku przypadnie 75-lecie Polskiej Akademii Umiejętności i 50-lecie twórczości Leopolda Staffa.

Wśród tylu już odprawianych i szybko nadciągających rocznic bodaj wszyscy zapomnieli, że nadejdzie również dzień 3 kwietnia 1949 roku. Szukacie w pamięci, co ten dzień oznacza? Stulecie śmierci Juliusza Słowackiego. A ponieważ mamy już koniec czerwca, a nikt z bardziej powołanych, od Ministerstwa Kultury i Sztuki zaczynając, tego dotąd nie uczynił, jest chyba ostatnia pora zawołać głośno, że byłby to skandal kulturalny i narodowy na dużą miarę, gdyby wszyscy z racji swojego fachu — historycy literatury i krytycy — i z racji swojego urzędu powołani do pamięci, dzień 3 kwietnia 1949 roku przypomnieli sobie dopiero wówczas, kiedy w kalendarzyku historycznym „Przekroju" przeczytają tę datę.

O dwie zasadnicze sprawy chodzi w niniejszym przypomnieniu. Pierwsza jest prostsza i nie jest jeszcze za późno ją zorganizować — odpowiednie obchody i uroczystości na wszystkich istniejących szczeblach, Wawel i szkoły, organizacje naukowe i organizacje upowszechniające kulturę. Nawet tragiczne straty kultury naszej i powstańcze rany Warszawy mogą być w tym pomocą, zwłaszcza, by pamięć poety uchronić od szablonu. W krajobrazie stolicy nie ma dzisiaj owej wyniosłej kolumny, na której w liryku Słowackiego siadały wędrowne żurawie, a przyzwyczajony do przebywania na wysokościach posąg królewski ze zdziwieniem w galerii Muzeum Narodowego spogląda na przechodniów równo z nim kroczących, zielone oczy Kilińskiego nie spoglądają dzisiaj z szybek Starego Miasta — ale dla pisarza umiejącego patrzyć żywo, jakiż w tym materiał do ukazania Słowackiego w sposób ludzki i dostępny. To Warszawa. A Kraków, pogrzeb poety...

Nie, przerwijmy. Rubryka spraw i zaczepek nie jest departamentem obchodowym, a program uczczenia setnej rocznicy zgonu Słowackiego winien być opracowany w skali ogólnopolskiej i dlatego sprawę tę tylko zaznaczam, od razu odstępując ją w bardziej właściwe ręce. Dla tej bowiem rubryki ważniejsza jest druga część sprawy Słowackiego — dzisiejszy stosunek do jego dzieła i postaci. Ten stosunek — bądźmy szczerzy! — niepozbawiony jest wielu oporów, jakie mogą zaważyć na hołdzie należnym geniuszowi naszej poezji i poetyczności. Poezji i poetyczności, powtarzam. Wzmożone i niesłabnące zainteresowanie Mickiewiczem odbija się, jak nieraz już bywało, na Słowackim. Dość wspomnieć, że poza opowieścią biograficzną o poecie pióra Pawła Hertza, drukowaną we fragmentach przez „Kuźnicę", nie opublikowano po wojnie żadnej poważniejszej pracy o poecie. Tymczasem, jeśli chodzi o Mickiewicza, badania samego tylko Kubackiego ileż rzuciły nowego światła na jego genealogie historyczno - literackie, essaye Przybosia ileż blasku na jego dzieła. O Słowackim głucho, ciemno i wcale nie laurowo. Tymczasem wagi i miejsca Słowackiego w poezji polskiej te opory nie umniejszą, a my jedynie, żyjący w roku 1949, możemy się wydać w przyszłości trochę śmieszni i pretensjonalni.

Jak bardzo o Słowackim głucho, chciałbym udowodnić na przykładzie grubej niesprawiedliwości, jaka spotyka go właśnie na tle rocznicowej daty Wiosny Ludów. Czy przypomniał ktokolwiek losy Słowackiego w tym roku? Jego pobyt w Poznańskiem w kwietniu, przymusowy wyjazd do Wrocławia, jego spotkanie z matką, wreszcie, kiedy o idee chodzi, jego Konfederację z marca 1948 roku, akty i manifesty tej kilkudniowej próby politycznej. Fantastyczne pomysły i wypowiedzi Słowackiego, zapowiadającego nadejście epoki świętej anarchii, kiedy bez armat i wojska będzie się zwyciężać samą siłą ducha, mógł był piszący o tym ocenić, jak na to zasługują, byleby je w ogóle przypomniał!

Bo nie będziemy na pół mistycznej, a na pół sarmackiej idei Konfederacji porównywać z Legionem Mickiewicza, z jego radykalną, pełną wieszczych przeczuć społecznych i politycznego realizmu rolą, ale tak zupełnie zapomnieć, tak całkowicie przemilczeć, że Słowacki wraz ze swym kołem młodych (Szczęsny Feliński, Andrzej Fredro, Władysław Dzwonkowski i inni) przybył do kraju, że uczestniczył w akcji politycznej, o tym tak całkiem zapomnieć, a wypominać mu jedynie, że zręcznie grał na giełdzie, naprawdę się nie godzi. A jeśli już o tej giełdzie mowa, znacznie ciekawsza jest sprawa fortuny filozofa i historyka literatury, kilkugodzinnego dyktatora krakowskiego z roku 1846, a po Wiośnie Ludów bankiera genueńskiego i nadwornego finansisty domu sabaudzkiego, Michała Wiszniewskiego, fortuny pomnożonej zakupami akcyj według przepowiedni Zygmunta Krasińskiego dokonanymi.

Słowacki wiosną 1848 roku był już u kresu sił, wszak nie przeżył kwietnia następnego roku, a los swój przeczuwał dokładnie. — „Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka". Uciekło całe na paryski cmentarz, a tylko Norwid w „Czarnych kwiatach" zapisał jego ostatni wizerunek — „pierwszy widziałem ciało zimne Juliusza, bo w nocy poprzedniej, Sakramentami opatrzony... zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historii polskiej przedstawiającym, który łoże od ściany dzielił".

Bo nie tylko Mickiewicz czynem i prawdą wypełnił w roku 1848 rachunek, jaki wystawiało mu sumienie za rok 1831. Słowacki również, a jego rachunek o ileż — tak po ludzku, cieleśnie — był trudniejszy. „Wielkiego mizeraka syna oddam Ci, zamiast tego, któregoś ty na świat wysłała" — pisał wówczas, sposobiąc się na spotkanie z matką.

W tych rozważaniach celowo pomijam sprawę poezji. Rok 1848 nie był bowiem tylko próbą poezji. O niej zaś, o tym, że rachunek naszego stosunku do Słowackiego, chociaż na razie zaniechany, chociaż na razie pozostawiony na pozycjach dwudziestolecia, nie jest rachunkiem zamkniętym, może kiedyindziej. Tylko jedno — kto sądzi, że wzmożony (i zrozumiały, nie protestuję) kult dla Mickiewicza z dziejów naszej umysłowości i kultury usunie znamię tego geniusza poetyczności, twórcy poetyczności polskiej, naprawdę jest dziecinny.

W „Pierścieniu wielkiej damy" Norwida jest taka scena. Sędzia Durejko opowiada, że na Litwie nie potrzeba wielu wielkości, wystarczy jedna — jak Mickiewicz, to Mickiewicz, jak Radziwiłł, to Radziwiłł. Na to bliski sercu poety rezoner i bohater komedii Szeliga odpowiada ironicznym porównaniem, że

Obeliski jednak pojedyncze
Miewają tę niedogodność znaczną,
Że z nich domu stawić nie
podobna...
I zaledwo próżne zdobią place.

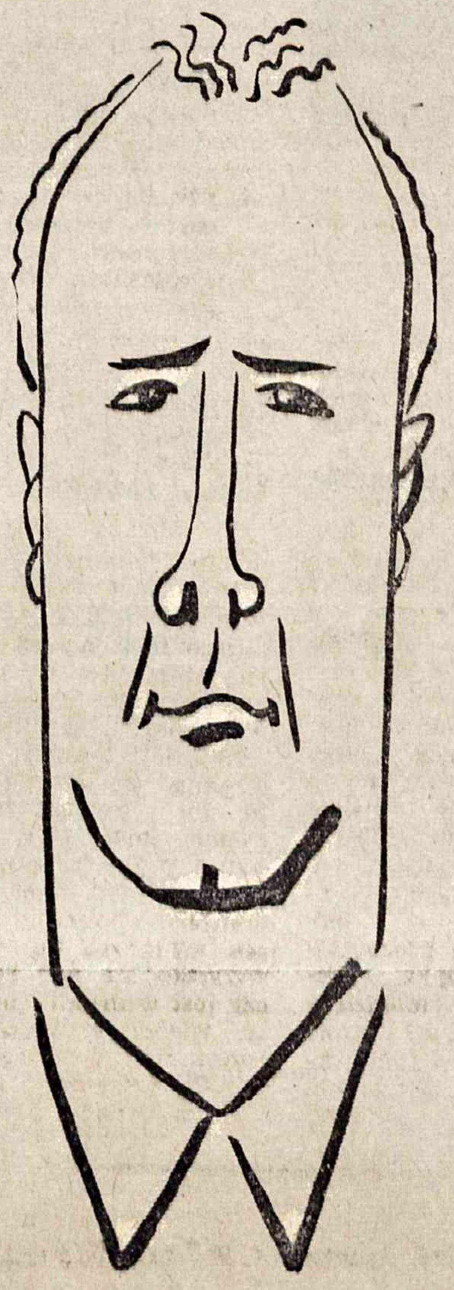
Chociaż w wiekowym gmachu poezji polskiej Mickiewicz jest kolumną centralną, przecież jest tylko jedną z jego kolumn, i ubogi, kto obelisków odmiennych nie mieści w swojej pamięci i kulcie. Dzień 3 kwietnia 1949 będzie sprawdzianem, czy wobec rozmiarów odziedziczonego z przeszłości gmachu, nie okażemy się zbyt ubodzy i za mało pojemni.

kjw

Z TEKI KARYKATUR KAROLA FERSTERA



Jean Marcenac



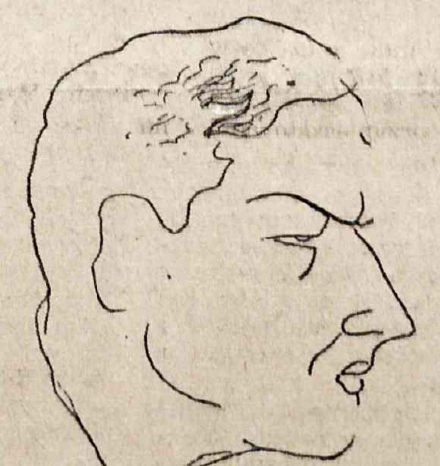
Jean Painlevé



Leon Moussinac



Julien Benda



Jerzy Putrament

łej kuchni śledzona jego uważnymi spojrzeniami. Gdy chciała wyjść po masło do sieni, zastąpił jej drogę.

— Nie wychodzić — powiedział — to co tu jest wystarczy mi...

Na twarz Poznanianki, wysoko, pod samymi oczami, zaczęły występować czerwone plamy rumieńca. Powoli ujęła nóż kuchenny i przyciskając duży bochen do zmiękłej piersi, ukroiła kromkę chleba.

— Więc rozgonili was — powiedziała dobitnie — a gdzie są teraz Ruscy?

Skubał chleb i gryzł niecierpliwie, pochyliwszy czoło.

— Na górze, a może już w lesie... Muszę się śpieszyć, trzeba uciekać.

Teraz jej ruchy stały się powolne, twarz miała jeszcze bardziej ściągniętą. Niemal macierzyńskim ruchem postawiła przed nim kubek i poklepała po ramieniu.

— Pij, nie bój się!

Podniósł szklankę do warg, chlipnął, zaraz oblizał gwałtownie, mleko parzyło, więc dmuchał. Zdjął hełm i postawił na stole. W świetle lampy zalśniły mu włosy jasne i miękkie, wysoko na skroniach podstrzyżone.

— Nie śpiesz się — przeszła nagle na ty, przysiadła koło niego i przypatrywała mu się natarczywie. — Powinieneś się rozgrzać, zimno tak leżeć na śniegu...

— O tak, ja jeszcze jestem ranny...

— Widzę przecież. Jak ci na imię?

— Erwin.

— Masz matkę?

— Mam.

— A ojca?

— Żyją oboje i mam dwie siostry

— To dobrze...

— Pomóżcie mi mütterchen, jestem jeszcze młody, chcę żyć!

— Każdy tak prosi, jak strach na niego przyjdzie. Każdy by chciał żyć. A mój Władek nawet nie odezwał się słowem, nie wierzył, że można tak wziąć od rodziny, odprowadzić parę kroków, i za nic, rozumiesz, za nic...

— O czym pani mówi? — przestraszył się.

— O mężu, zabito mi go w Warszawie.

— Nie byłem nigdy w Warszawie, ja jestem dopiero tydzień w Polsce.



— To nieważne, wystarczy, że jesteś... No pij.

Łykał posłusznie. Po długiej chwili milczenia, gdy skończył, dolała mu jeszcze. Siadła bliżej, łokciem się wsparła na stole.

— Matka cię bardzo kocha?

— O tak, jak jedynaka.

— Masz fotografię? Pokaż?

Niezręcznie wydobył portfel, wysypały się z niego małe zdjęcia amatorskie. Cała rodzina za stołem w ogrodzie, kwiaty na obrusie, sielanka. Przeglądała je uważnie, z napięciem wpatrywała się w nieznane jej, uśmiechnięte twarze.

Niemiec usłyszał kroki, włożył hełm, chciał wstać.

— Siedź, uspokoiła go, to Walercia.

— W imię Ojca i Syna — przeżegnała się kucharka. — A cóż ten tu jeszcze robi...

— Nic. Przyszedł głodny, więc go karmię. No, chodźże pani bliżej, on już nie straszny...

Ranny kręcił głową, patrzył na obie kobiety, próbując zrozumieć, o czym mówią.

— Co ona powiedziała? — zapytał szeptem.

— Że spokój, możesz iść... Wyjdziesz na dół, za bramą szosa, skręcisz na prawo, droga do miasta prosta.

— Na prawo?

— Tak przed północą będziesz.

— Gott sei dank!

— Niech pani Walercia przyniesie masła, zrobimy mu kromkę na drogę!

— Jeszcze czego, trucizny bym mu dała, nie chleba!

— Nie rozumie pani, że jak go tu przytrzymamy, muszą go Ruscy dogonić.

— Aleś to pani chytrze wymyśliła — spojrzała czule na Niemca, jak na kurę przeznaczoną na zarżnięcie.

Ranny nie chciał już dłużej siedzieć.

— Dobranoc! — powiedział.

Milczały obie, przypatrywały mu się chciwie jak wychodził.

Gdy kroki ucichły, Ratajczakowa uklękła, wsparła się łokciami o krawędź stołu.

— Boże! Boże! — zawołała — nie chcę, żebyś był miłosierny! Słyszysz, nie chcę! Bądź tylko sprawiedliwy! — modliła się z zaciśniętymi pięściami. — Przecież nie pozwolisz mu się uratować!

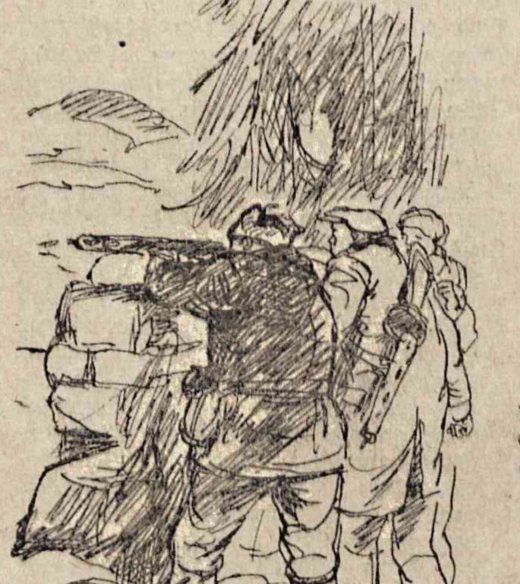
Nasłuchiwały. Była cisza, musiał już minąć bramę.

— Pomaszerował prosto w ręce Ruskim! — szepnęła mściwie Walercia.

Ale Poznanianka nie była tego pewna, zwiesiła głowę. Pod czołem czuła na deskach miękkie okruszyny świeżego chleba, którym go posiliła.

✣

Tadeusz był już pod szczytem. Ognisko błyskało w dole, mimo że iskry garściami wirowały w powietrzu nie było zbyt widoczne. Szedł bardzo ostrożnie, przesuwał się od drzewa do drzewa.



Miał już za sobą krótką chwilę, w której bardzo żałował, że nie został przy księdzu, bał się, mogli przecież bez ostrzeżeń zacząć strzelać. Zarówno jedni, jak i drudzy. Karabin niewiele mógł mu zrobić w ciemności, ale seria z automatu, lub pepeszy...

— Stoj! Kto idiot? — wrzaśnięto nagle.

Zanim zdążył odkrzyknąć, usłyszał z boku znajomy głos:

— Wywal rakietę! Możeś znowu sarnę spłoszył.

— Nie strzelajcie! — zawołał — Swój idzie! Tu Pirat!

Nie wychylał się jednak zza drzewa, zanim wystrzelona rakieta nie rozświeciła się, zawisając tuż nad wierzchołkami drzew. Dojrzał ich, klęczeli w krzakach, otaczali go półkolem.

— No, chwała Bogu — powiedział, wychodząc na polankę — żeście zaraz nie zaczęli rąbać! Szedłem właśnie do was chłopaki!

— To warszawiak z zamku! — usłyszał zdziwiony głos.

Wyskakiwali, ściskali mu rękę, gadali jeden przez drugiego.

— Cześć! Jak wam się powodzi? Gdzie komendant?

— Jest tutaj z nami.

— My się od rana po lesie tłuczemy bo jak się Niemcy zaczęli usadzać na Mokronosie...

— Toście nie mogli wysiedzieć u akuszerki?

— Do naszej babulki-skrobulki władowali się Szwaby z punktem opatrunkowym, trzeba było odskoczyć.

— Ale gościna u niej fajna!

— Bimbru nie żałuje!

— Boi się, żebyśmy jej łba nie ukręcili, więc skacze koło nas stara jak może!

— Siedzimy w lesie, patrzymy przez lornetkę, a tu Niemcy do zamku zajeżdżają. Myślimy: fajnie podeszliśmy bliżej, żeby na nich skoczyć...

— To ja strzelałem, jak wieszali Ruskiego...

— A potem pokazało się, że w lesie też leżą Niemcy i trzeba było przycupnąć, bo po tym strzale wyroili się jak osy.

— Słuchajcie Pirat, a co to za ogień w dole?

— Ksiądz hajcuje, żeby ziemia odmiękła, chce powieszonego pochowac

— Tam, nad strugą też paru leży!

— A Niemców nakładli jak baranów!

— Nawet ich niebardzo widać, bo mają bialutkie kombinezony!

— Nie bój się, do rana pokażą się na śniegu. Niech ich tylko chłopy zwęszą, to zaraz porozbierają!

— Tfu świństwo!

— A sam w czym paradujesz?

— Czysty mundur, prosto z wagonu, a nie z trupa!

— Tamte się spierze, nie będzie znać!

Czuł dotknięcie przyjaznych rąk, wdychał znajomą woń machorki, zleżałych kożuchów i zmarzniętego sukna

— Słuchajcie — położył mu dłoń na ramieniu ktoś wysoki. Gdy zaciągnął się papierosem, Tadeusz poznał dziobatą twarz Znaczonego. — Jak tam jest w zamku?

— Spokój! Droga wolna, komendancie! Tylko jabym chciał z wami parę słów na osobności...

— Zostańcie towarzysze

Oderwali się od gromady, weszli między drzewa.

— Czy ufacie mi komendancie?

— No, o co wam chodzi?

— Znamy się niedługo — mówił gwałtownym szeptem Tadeusz — wiecie że jestem z AK

— Przecie wam nic nie grozi.

— Nie o to idzie, tylko dalibyście mi oddział? Mówię jasno, niejedną robotę odwalałem, chwila jest taka, że nie chciałbym zostać na lodzie!

— Powiem wam tak: od jutra obejmujemy władzę. Trzeba będzie patrolować drogi, polapać trochę folksdojczów, utrzymać porządek... Ludzi nam brak.

— No widzicie...

(Dalszy ciąg nastąpi)

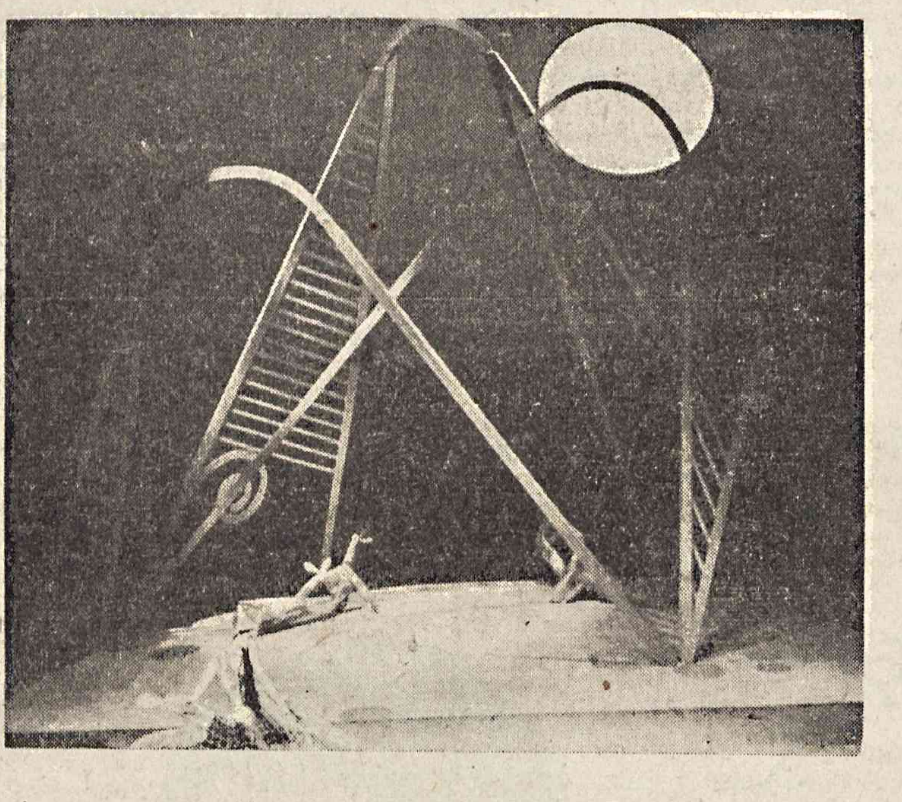
■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■

„Swantewit" Perkowskiego w Poznaniu

Obecni w dniu 19 czerwca 1948 r w Teatrze Wielkim w Poznaniu na prapremierze baletu Piotra Perkowskiego „Swantewit" orzekli niemal jednogłośnie, że spektakl ten przełamał cykl niepowodzeń polskich premier teatralnych i stał się wydarzeniem artystycznym. Zdanie to wypowiadali zarówno „cywile artystyczni", jak i artyści wszelkich branż. Vox populi — vox dei. Należy jednak wytłumaczyć, dlaczego zawodzący dotychczas w kraju — skomplikowany mechanizm teatru muzycznego zaczął funkcjonować bez zarzutu. I czemu należy zawdzięczać, że wykonanie „Swantewita" dorosło do jego poziomu twórczego.

Niewątpliwie, do wysokiego poziomu przedstawienia przyczyniły się w wielkiej mierze — organizacja i praca włożona w przygotowanie spektaklu. Było więcej prób niż zwykle, na dekoracje i kostiumy rozpisano konkurs, wreszcie w przygotowaniu „Swantewita" wziął udział sam autor, pedantyczny i wymagający. Prapremiera „Swantewita" była więc sumą osiągnięć artystycznych, jakie może dać jedynie połączenie talentu, pracy, wiedzy i doświadczenia. W ten sposób współtwórcami przedstawienia stali się oprócz Piotra Perkowskiego, Jerzy Kapliński, Zygmunt Latoszewski i Andrzej Stopka.

Piotr Perkowski, autor kilku dzieł symfonicznych, kameralnych i pieśni, komponował muzykę „Swantewita" w latach 1929—1930 na zamówienie Opery Warszawskiej, której upadek uniemożliwił wystawienie tego baletu przed wojną. W czasie powstania warszawskiego rękopis „Swantewita" spłonął. Zrekonstruowany po wojnie, „Swantewit" został wystawiony po raz pierwszy na scenie Opery Poznańskiej 19. VI. br. Muzyka „Swantewita" jest przede wszystkim świetnym rozwiązaniem muzycznej formy baletowej; cechuje ją duża plastyka wyrazu oraz równowaga elementów dynamicznych i statycznych. Barwna instrumentacja, wyraźna tematyka i przejrzysta forma, oto co charakteryzuje muzykę „Swantewita", najistotniejszą jednak jej cechą jest oryginalność. Można się zgadzać albo nie zgadzać z tego rodzaju twórczością, nie podobna



Barbara Bittnerówna na tle dekoracji II obrazu

jej jednak odmówić wyraźnych cech indywidualności artystycznej. Całą twórczość Perkowskiego charakteryzuje od samego początku jednolitość stylu. Zarówno jego początkowe pieśni, symfonietta, późniejszy koncert skrzypcowy, jak „wojenne" „Szkice toruńskie" odznaczają się tymi samymi walorami artystycznymi. Perkowski czuje się najlepiej w momentach lirycznych (piękny nokturn jest wstępem do trzeciego obrazu „Swantewita") jego harmonia nie wkracza w dziedzinę atonalności, często natomiast słyszy się u niego zestawienia politonalne. Muzyka twórcy „Swantewita" jest homofoniczna, jednakże fragmenty takie jak fugato na początku pierwszego obrazu wskazują na umiejętność operowania stylem polifonicznym.

Wrażenia estetyczne wywołane muzyką, spotęgowały niewątpliwie reżyseria i układ choreograficzny Jerzego Kaplińskiego. Kapliński stał się współtwórcą libretta, którego Perkowski dokładnie odtworzyć nie mógł. Wprawdzie taniec nie zawsze oddawał właściwy tej muzyce nastrój; każdy jednak fragment był w swoim rodzaju majstersztykiem kompozycji choreograficznej, a całość doskonale współbrzmiała ze stylem dekoracji i prześlicznych kostiumów.

Andrzej Stopka w prostych, surrealistycznych dekoracjach i kostiumach, umiejętnie operuje kolorem farb i świateł (rzadkość na polskiej scenie!).

Motywy dekoracji zaczerpnięte zostały z prasłowiańskich wykopalisk rugijskich. Kostiumy — to fantazja artysty, świadomego niemożliwości rekonstrukcji dawnych słowiańskich strojów. Suma wizualnych wrażeń stworzyła wizję kolorowej bajki, ożywionej tańcem najlepszego polskiego zespołu, jakim jest balet Opery Poznańskiej.

Zespół taneczny stanął na mocnym gruncie, mając jako podstawę technikę baletu klasycznego. Główną rolę kobiecą „Dziwożony" powierzono Barbarze Bittnerównie, primabalerinie Opery Poznańskiej. Doskonałymi jej partnerami byli: Czech Stańczak w roli wiejskiego zucha i Leokadia Zienko jako narzeczona. Wyróżnił się Drzewiecki w roli leśnego dziwadła.

Zygmunt Latoszewski, żegnając Operę Poznańską swoją ostatnią premierą (przenosi się do Filharmonii Warszawskiej) wydobył z orkiestry wszystkie jej możliwości. Mimo dysproporcji ilościowej pomiędzy poszczególnymi grupami instrumentów (bardzo nielicznie obsadzony kwintet smyczkowy) oraz skłonności instrumentów dętych (szczególnie drewnianych) do neglizowania piana, orkiestra brzmiała dobrze i na ogół wiernie odtwarzała intencje autora. Najsłabszym punktem prapremiery była interpretacja nokturnu przez śpiewaczkę Zofię Chwoyka-Charłampowicz.

Zbigniew Turski

Pan Puntila i jego parobek

Zurych w czerwcu

Bert Brecht — to jeden z niewielu pisarzy niemieckich, którzy nigdy nie zeszli z zajmowanych pozycyj. Kiedy niezliczeni intelektualiści niemieccy w czasie hitlerowskiego średniowiecza ulegali koniunkturze i nie mogli, lub nie chcieli rozumieć tego, co się rozgrywa dokoła nich, a potem, zgorzkniali i rozczarowani, odgrywali rolę nieszczęśliwych, zawiedzionych pierotów, Brecht wiedział zawsze co słuszne i dobre, co zbrodnicze i przestępne. Ostatni jego utwór sceniczny „Pan Puntila i jego parobek", którego prapremiera odbyła się 5 czerwca rb. w zuryskim „Schauspielhaus", będącym jedyną dramatyczną sceną Szwajcarii, która i w okresie wojny i po wojnie nie zboczyła ani od artystycznej, ani od ideologicznej linii, jest jednym z ogniw w łańcuchu niezwykle bogatej twórczości Brechta (O sztuce Brechta „Strach i nędza Trzeciej Rzeszy", którą w roku ubiegłym wystawił teatr bazylejski, a która we wspaniałych obrazach ukazuje, w jaki to sposób metody hitlerowskie zniekształcają i łamią wszystko, co w świecie mieszczańskim słabe i spróchniałe, pisałem swego czasu w „Odrodzeniu").

Brecht — emigrant niemiecki od r. 1934, spędził podczas wojny kilka miesięcy jako uchodźca w Finlandii. Tam wszedł w krąg pisarzy i literatów, zaprzyjaźnił się z wybitną pisarką fińską Hellą Wuolijoki. Pisarka, zajmująca się fińskim folklorem, zaznajomiła Brechta z fińskimi bajkami, baśniami ludowymi, pieśniami i legendami. Zbliżywszy się do tego baśniowego świata, Brecht pokochał Finlandię, zrósł się z jej ludźmi i krajobrazem. Z tej nowej wiedzy o obcym, nieznanym dotychczas kraju, z tych studiów nad jego baśniami i podaniami, w których bogacz Puntila gra dużą rolę, utkał Brecht swą nową komedię.

Jest to rodzaj baśni o wydźwięku socjalno - politycznym. Puntila niespokojny, wędrowny duch, coś w rodzaju Peer Gynta w miniaturze, to człowiek, którego rozsadza temperament, który ustawicznie znajduje się w stanie niepokoju i napięcia, który ma chore sumienie. Na zimno, na trzeźwo, jest Puntila, właściciel olbrzymich włości, bezlitosnym eksploatatorem i wyzyskiwaczem swoich ludzi. Po pijanemu staje się buntownikiem, organizuje przeciwko sobie własnych parobków, jest w stosunku do nich miękki, ciepły, serdeczny obiecuje im złote góry. Podoba się sobie w tym pijaństwie, ucieka w opary alkoholu, by móc być człowiekiem. W stanie pijaństwa nie znosi samotności. Podobnie jak pijak z chaplinowskich „Świateł wielkiego miasta", który nocami wlecze ze sobą po niezliczonych knajpach i barach biednego Chaplina, mówi mu: przyjacielu, a rano, kiedy otrzeźwieje, każe Charliego którego już nie zna, już nie pamięta, zrzucić ze schodów. Rodzajem Chaplina pana Puntili jest jego szofer Matti, który przechodzi ze swym panem wszystkie pasyjne drogi pijatyk, trwających nieraz kilka dni i nocy, tyle tylko, że nie ma, jak Chaplin, złudzeń w stosunku do swego pana. Wie dobrze, że jego pan jest mu przyjacielem tylko wtedy, kiedy alkohol zamroczy mu umysł. Wie, że jego wielkie gesty, jego nieprawdopodobne przygody z kobietami z ludu, którym obiecuje zamki na lodzie — to tylko fanaberie wielkiego pana. Jest spokojny, cierpliwy, bo wie również, że przepaść między biednym i bogatym, między panem i parobkiem nie da się zasypać, że prawdziwa solidarność, prawdziwa przyjaźń tylko wtedy byłaby możliwa, gdyby pan Puntila i po trzeźwemu potrafił z czegoś zrezygnować, coś oddać, z czegoś ustąpić.

Świat jest obecnie widownią ofensywy wszelkiego rodzaju Puntilów. W Zurychu obradowała niedawno Światowa Unia Liberałów. W czasie Kongresu przedstawiciele wielkiego kapitału, wielkiej finansjery wzywali do solidaryzmu, wołali pod adresem robotnika:

Dajmy sobie bracia pyska — swój swego niech uściska!

Nie zasypia również gruszek w popiele dyrygowana z Oxfordu organizacja tzw. Moralnego Uzbrojenia, na której czele stoi amerykański emigrant, z pochodzenia Szwajcar, niejaki p. Buchmann, zaciekły wróg komunizmu, który swego czasu mówił i pisał w Ameryce, że Adolf Hitler — to drugi wielki Mesjasz. Ci uzbrajacze moralni prowadzą również propagandę za pomocą sztuk teatralnych. Jedna z takich sztuk „Zapomniany czynnik" propagująca solidaryzm przy kawie, którą fabrykant łaskawie częstuje przywódcę strajkujących robotników, grana była na różnych scenach szwajcarskich, przy czym bilety nie kosztowały ani centyma. Na tle tej propagandy kapitalistycznego solidaryzmu, antysolidarystyczny utwór Brechta jest drogowskazem dla tych wszystkich, na których zarzuca swe sieci solidaryzm z łaski niezliczonych Puntilów, którzy w przeciwieństwie do baśniowego bohatera fińskiego przeważnie są bardzo a bardzo trzeźwi.

Sztuka Brechta, soczysta, krwista, pełna humoru tak dobrze nam znanego z „Opery za trzy grosze", jest niewątpliwie utworem tendencyjnym, ale autor jej ustrzegł się szczęśliwie używania jedynie barwy białej i czarnej. Biedacy, wydziedziczeni, bezdomni i bezrobotni — nie są w żadnym stopniu aniołami. A pan Puntila wraz ze swoją świtą, na którą obok parobka-szofera składa się sędzia, adwokat i księżyk — to żaden diabeł. Całe to towarzystwo nie może zejść z zajmowanych pozycyj wskutek układu sił społecznych. Ale jakiś głos wewnętrzny mówi panu Puntili, że coś tu jest nie w porządku. W stanie zamroczenia i pijaństwa jest on wewnętrznie biedniejszy od swoich parobków, wie bowiem, że jego świat chyli się ku upadkowi, ginie, gdy tamci wierzą w lepsze jutro.

Nowa sztuka Brechta stawia reżysera przed zadaniem niezwykle trudnym, gdyż jest połączeniem i pomieszaniem snu i rzeczywistości, realizmu i fantazji, humoru i głębokiej powagi. Teatr zuryski, w którym sztukę Brechta wyreżyserował doskonale Kurt Hirschfeld, dał widowisko godne wielkiej europejskiej sceny. Wspaniały był wykonawca roli tytułowej, Steckel. Choć przez cały wieczór nie schodzi ze sceny, ani przez chwilę nie nuży, nie męczy, nie niecierpliwi. Jego ucieczki w świat alkoholu, jego przechodzenie od okrutnej trzeźwości do łzawego opilstwa, przeprowadzone zostały głęboko po ludzku. Parobek-szofer jest w interpretacji artysty Knutha człowiekiem mądrym, spokojnym i świadomym. Nawet w scenach graniczących z groteską nie traci wewnętrznego dostojeństwa. Może najpiękniejsze są sceny, w których fińskie kobiety wiejskie mówią o swoim smutnym, szarym, bezradosnym życiu, wypełnionym bez reszty walką o kawałek chleba.

Utwór Brechta, doskonale scenicznie skonstruowany, powinien zainteresować również teatry w Polsce. Nasi panowie Puntilowie nie grają już wprawdzie żadnej roli, nie wynika z tego jednak, by nie było ludzi, którzy do nich ciągle jeszcze wzdychają. Było by dobrze, gdyby ludzie ci zapoznali się ze sztuką Brechta.

✤

— Proszę mnie odwiedzić jutro po południu — powiedział Brecht, kiedy na premierze dziękowałem mu za wspaniały wieczór. — Mieszkam pod miastem.

Dom, w którym pisarz wraz z żoną, byłą wybitną aktorką berlińską, znalazł schronienie i zajmuje kilkopokojową skromną mansardę na drugim piętrze, z której roztacza się przepiękny widok na jezioro zuryskie, zawieszony jest nad szosą Zurych-Rapperswyl. Brecht przyjmuje mnie w pokoju, który mu służy za pracownię i sypialnię. Czuje się niezbyt dobrze, ma zmęczony wyraz twarzy. To wyczerpanie i zmęczenie tłumaczy się niezawodnie tym, że Brecht, człowiek dziś pięćdziesięcioletni, od długich lat pędzi żywot emigranta, wędrowca. Opuścił Niemcy w r 1933 po spaleniu Reichstagu, tułał się po Czechosłowacji, Szwajcarii, Danii, Skandynawii. Wreszcie w Finlandii, już w czasie wojny, otrzymał wizę amerykańską i przez Moskwę, Władywostok wyjechał do Kalifornii, gdzie w mieście Santa Monica przeżył długich sześć lat. (W tym samym mieście mieszka dziś jeszcze Lion Feuchtwanger, którego Brecht zalicza do swoich najbliższych).

— Teraz — mówi autor „Puntili" — chciałbym wrócić do Niemiec, pracować w Berlinie. Ale jestem bezpaństwowcem, nie mam tzw. dobrych papierów i Amerykanom z pewnością nie będzie śpieszno z udzieleniem mi wizy. Tak, tak, Ameryka... Nie wiem, czy panu wiadomo, że jesienią roku ubiegłego zostałem wraz z wybitnymi reprezentantami amerykańskiego świata filmowego zaszczycony wezwaniem do Waszyngtonu. Tam, we wspaniałej sali Kongresu, specjalna komisja, badająca ludzi podejrzanych o sympatie prokomunistyczne, poddała mnie szczegółowemu przesłuchaniu. Cytowano różne zdania z moich sztuk i książek, które pięknie uporządkowane leżały na stole komisyjnym. Podczas przesłuchania pokazało się, że członkowie komisji doskonale wiedzą z kim w Santa Monica utrzymywałem bliższe stosunki, o czym się z ludźmi rozmawiało. Ameryka nie byłaby Ameryką, gdyby tego przesłuchania, trwającego dobre kilka godzin, nie sfilmowano, nie nagrano na taśmę filmową i gdyby później żerujące na sensacji pisma nie przyniosły artykułów, zaopatrzonych w sensacyjne tytuły. Po powrocie do Kalifornii postanowiłem opuścić Stany Zjednoczone i oto teraz mieszkam w Szwajcarii. Uważam to za prowizorium, gdyż chciałbym wrócić wreszcie do Niemiec.

Sztukę o Puntili napisałem w Finlandii w r. 1941. Obecnie, jak to u mnie w zwyczaju, pracuję nad kilkoma utworami teatralnymi równocześnie. Ale mam przesąd niezdradzania tematów i dlatego nie dowie się pan nic bliższego. Zwróciła się do mnie pewna firma szwajcarska z propozycją zbiorowego wydania moich utworów, których liczba jest niemała. Pertraktacje są w toku. Wracając do Puntili, mam wrażenie, że jakkolwiek w krajach Europy wschodniej i centralnej Puntilowie zostali, żeby się tak wyrazić, zlikwidowani, znalazło by się dla mojej sztuki miejsce i w Polsce, i w Czechosłowacji, i na Węgrzech. Mam również wrażenie, że sztuka moja „Żywot Galileusza", napisana w r. 1938, mówiąca o trudnościach, na jakie natrafia uczony w świecie kapitalistycznym, mogłaby być również przełożona i grana nie tylko, jak dotychczas, w Ameryce i Szwajcarii. Puntila znajdzie się prawdopodobnie na scenie jednego z teatrów nowojorskiego Broadwayu, o ile oczywiście Charles Laughton, którego pan zna z pewnością jako jednego z najwybitniejszych aktorów filmowych, zgodzi się zagrać rolę tytułową.

Mówimy jeszcze ogólnie o teatrze, rozmowa schodzi znów na Amerykę. Zdaniem Brechta, merkantylizacja życia teatralnego w Stanach Zjednoczonych w zupełności to życie sparaliżowała. Eksperymenty, próby awangardowe, skończyły się, na razie bezpowrotnie, w pierwszym kryzysowym okresie New Dealu, kiedy to szczególnie w New Yorku miało się do czynienia z teatrami, w których grali bezrobotni, kiedy istniał teatr o tendencjach polityczno-społecznych. Dziś sytuacja w Stanach Zjednoczonych wygląda tak, że wartość artystyczną mają niemal jedynie rewie o charakterze music-hallowo-kabaretowym. Strona choreograficzna tych teatrów stoi na poziomie najwyższym, również to wszystko, co jest związane z pieśnią czy piosenką, odpowiada najwybredniejszym wymaganiom.

Jacek Frühling

ROMAN BRATNY

JAK WYZWISKO

**Kiedy rękę unoszę z piórem,
by napisać że cię żegnam
— czuję ból i pot i dreszcz w mięśniach,
jakbym dźwigał Twoją trumnę.**

**Nie do udźwignięcia, nie do udźwignięcia
monotonne są ręce obie,
którym zbrakłaś, z którymi się więcej
nie spotkasz, bo im na to nie pozwolę.**

**Oto wiersz prosty jak protokół.
To wiersz prosty jak wyzwisko:
nigdy! już nigdy c i e b i e na oczy...
Cóż zebrałem na t w y c h warg różanych śmietnisku!**

**Cóż otrzymałem z t w o i c h rąk
kupowanych przez tylu, przez tylu!
Z jakich plugawych łąk
zbierałaś szczęście, ciemny, czarny, nocny motylu.**

**Z jakich, motylu ciemny, zbyt ciemny...
ale cóż to?
Miałem przecież wśród ogłoszeń z gazety
zapomnieć o t w o i c h ustach.**

**Ale cóż — ogłaszają: „szaliki jedwabne"
— a przecież t y miałaś na szyi...
I szyję miałaś smukłą — zwyczajną
i oddychałaś naiwnie.**

**Ogłaszają: „Żwir".
Tak, niech wiersz będzie jak żwir,
jak tłuczona cegła, a rym szorstki jak kit
w chłopskich krzywych okienkach.**

**Bo w dniach, gdy jeszcze w moim kraju
są niepiśmienne wioski
ja nad gazetą pochylony płaczę
nie nad nędzą — nad moją własną miłością.**

**Niech wiersz będzie zły
— wiersz, który j ą wspomina.
„Sprzedamy samochody" piszą,
mógłbym do niej jechać, ale j e j nima.**

**Niech wiersz będzie z błędami, niech będzie
chropawy, głupi
— to jest wiersz, którym żegnam szczęście,
które odchodzi, od któregom uciekł.**

**Niech ten wiersz się ośmieszy,
niech ludzie czytając go chichoczą
— ja nie chcę, żeby czytającemu te wiersze
było ciężko jak mnie, gdy wspominam j e j oczy.**

**Czy wiecie, że o n a była odstępowana
przez wszystkich i przeze mnie
— teraz szukam obojętnych słów wśród ogłoszeń, jak sklepowa panna
towarów wśród półek w sklepie.**

**Kiedy czytam, że rokowania gospodarcze
zakończono szczęśliwie
— raptem gryzę palce
i powtarzam: „szczęśliwie, szczęśliwie".**

**I zaraz myślę uspokojony,
że będzie miała tańsze pantofelki i rzeczy powszednie
— interesuję się światem, bo jest zaludniony
przez n i ą.**

**I znów przypominam: nie ma c i e b i e
— jesteś pożegnana,
jak gazeta odrzucona i zmięta
podeptana, podeptana.**

**Ogłaszajcie! Ogłaszajcie!
że istnieje życie, kiedy j e j nie ma
— „kupuję!" — „sprzedaję!"
„Poszukuję inżyniera!"**

**„Czytajcie Problemy!"
„Opakowania wyrabia tekturowe..."
Raz, gdy kupiła orzechy
przyniosła je w pudełku — było tekturowe.**

**„Kupujemy srebrny złom!"
Niech ten wiersz was rozśmieszy:
O n a miała rzęsy,
O n a miała dwie ręce. Czy się mówi: dwoje rąk?**

**„Garderobę cerujemy na miejscu!"
Proszę, zacerujcie łaskawie
duszę podartą na strzępy
i serce pocelowane t w o i m i oczami.**

**Boże! proszę Cię: spraw to i — bądź!
i niech mi w niebie ziemia tylko będzie
i o n a i j e j głos,
nawet, gdy mówi: „Już odejdę!"**

**Czekaj jeszcze. Czekaj! Przebacz.
Popatrz, tylu ludzi przeczyta
ten list, który wiem, że z bólem c i wciskam
w czerwoną skrzynkę serca.**

**Więc teraz piszę coś, co tylko t y, tylko t y
pojmiesz:
gdy powiedział pierwsze słowa z pistoletu w odbiornik
wywaliłem mu, jak w głowę.**

**Pękł cały świat
— podziałka potrzaskana.
Pożegnałem c i ę, najdroższa moja zła.
Zrozumiałaś? Zrozumiałaś.**

**Dość. Niech wiersz będzie tak prosty,
by przeczytał go niepiśmienny
— jak obłok na niebie wiosennym,
jak obłok wiosny.**

**I tak, gdy dudni faszyzm w podziemiach,
gdy górnicy strajkują we Francji
ja marnuję amunicję — komediant —
gdy tam milczą zaatakowani.**

**I tak, gdy sztandar płynie ponad trony,
gdy zaczynają nastawiać celowniki
ja piszę wiersz zły umyślnie, bo niegodny,
by był lepszy i bardziej do serca przenikał.**

**Bo są większe sprawy. Tak.
I ja kocham jeszcze ziemię i ludzkość.
Choć mogę płakać przed witryną, z podobną do t w o j e j bluzką,
to bije mi w serce przecież cały świat.**

**Tak niech ten wiersz zrozumie każdy,
każdy, kto go wysłucha:
do widzenia, Julio. Wolno mi marzyć,
że zapomnę o tobie. Już się śmieję od ucha do ucha.**

Wystawa w Muzeum Narodowym

Salon, urządzony w Muzeum Narodowym p.n. Druga Doroczna Wystawa ZPAP Okręgu Warszawskiego, obejmuje działy: rzeźby, grafiki oraz — najbogatszy (185 eksponatów) — dział malarstwa stalugowego; technika olejna, tempera, akwarela, pastel.

Dział grafiki zaopatrzono w rzeczowe i pouczające słowo wstępne artysty-grafika Toma. Podkreślam to z radością, pisane bowiem przez plastyków przedmowy do katalogów zawierają na ogół mało potrzebnych widzowi informacji, skłaniają się zaś często w stronę frazesu. Niestety — i w omawianym katalogu dział malarstwa, zamiast rzeczowych i bardzo tym razem pożądanych objaśnień — otrzymał egzaltowane a ogólnikowe zachwyty nad działalnością plastyka, pióra p. Wolfa. Wstęp nadaje się do prozy poetyckiej (takie np. zwroty, jak „szalenie potężny", „bajeczni uczniowie czarnoksiężnika", „siła, wyzwalana przez artystę daje życie, nie śmierć. Daje życie, wzbogacając nasze istnienie o nowy wylot na nieskończoność", wreszcie zupełne truizmy o tajemniczości procesu twórczego) i jest mieszanką przybyszewszczyzny z Holzapflem. Metoda woalowania procesu twórczego ma tę wygodną stronę, że od razu przerzuca na widza wszelką odpowiedzialność za nierozumienie dzieła sztuki, lub tego, co mu się jako dzieło sztuki podaje. W tej interpretacji sztuka staje się czymś najzupełniej oderwanym od życia. Zamiast porywać siłą swego uroku, swych — powiedzmy prozaiczniej — zalet, każe podchodzić do dzieła sztuki z półmistycznym „nastawieniem swego wewnętrznego życia" i to — „życia odczuć, nie zaś rozumowań". Cóż ma widz począć w tym wypadku z przeintelektualizowaną sztuką plastyczną ostatniego trzydziestolecia, a zwłaszcza z rysunkiem młodej Francji, z gruntu, jak dotąd, obcym naszemu ogółowi? P. Wolf daje i na to odpowiedź w jednym z wcześniejszych swoich artykułów: „Niech ci, którzy nie są w stanie dojrzeć żadnego zupełnie piękna choćby w wystawionych obecnie współczesnych rysunkach francuskich, **nie zawracają nam głowy pięknem, które rzekomo dostrzegają w dziełach Goyi**" (podkreślenia moje). Przytoczone zdanie nie tylko nie bierze pod uwagę różnorodności oddźwięku dzieł sztuki w społeczeństwie, zależnie od stopnia wyrobienia i typu uczuciowości widza, lecz odstręcza napastliwym, apodyktycznym tonem, oddając złą przysługę zarówno — plastykom jak i widzom.

Dział malarstwa urozmaicony jest głównie pod względem ujęć kolorystycznych. Tematycznie — jak w roku ubiegłym—zainteresowania malarzy idą głównie w kierunku pejzażu; dość wspomnieć, że na 185 prac jest 81 pejzaży, martwych zaś natur — 38. Każdego malarza reprezentują jedna, dwie, najwyżej — trzy prace. Ilość ta nie daje przeważnie wyobrażenia o skali twórczej plastyka. Dzieje się tak np. z najwybitniejszym przedstawicielem grupy abstrakcjonistów, Stażewskim, którego trzy „Kompozycje sferyczne" nie pozwalają się nawet domyślić rodzaju i jakości jego kompozycji figuralnych. Dobrze na tomiast charakteryzuje sztukę prof. Kowarskiego jego piękny złotawy pejzaż. Autor operuje dużymi, bardzo uproszczonymi formami; wielkie zalety ma spokojna, monumentalna kompozycja i pełne umiaru zestawienia złocistości z chłodnymi szarościami we właściwej Kowarskiemu fakturze (jakiś wyolbrzymiony Segantini). Dziwnym trafem rozłożenie ciemnych i jasnych partii obrazu przypomina nieco rozłożenie plam o różnym natężeniu barw na jednej z wiszących w sali kompozycyj abstrakcyjnych. Otóż porównując wrażenia wywołane przez oba obrazy, stwierdzić można, jak dalece nieuzasadniony jest lęk przed tematycznością i ponawiające się próby „oczyszczenia" plastyki ze wszystkich skojarzeń wyobrażeniowych. Pejzaż ten stanowi przykład plastyki na wysokim poziomie, przy jednoczesnej dostępności i dużej sile przekonywającej. Pejzaże Arcta uzyskały rzadką wśród naszej publiczności popularność. „Pejzaż wiosenny" bardziej niż inne przypomina barwną tkaninę, spełniając w ten sposób wymogi obecnego malarstwa, nie zatracając jednak przy tym waloru i perspektywy; niewielu pejzażystów to potrafi. Gobelinowy „Ogród Saski" Borucińskiego ma oprócz czysto malarskich, niezwykłe wartości tec..nicne, na których mogłoby się uczyć młode pokolenie, odnoszące się do pojęcia rzemiosła w sztuce ze zgoła nieuzasadnioną pogardą. Twórczość Centkiewicz-Michalskiej oraz J. Michalskiego ulega zmianom, dającym się zaobserwować na każdej wystawie. Tym razem w letnich pejzażach przytłumienie i rozbudowanie w półtonach gamy barwnej pogłębia i scala obrazy obojga. Hieratyczność postaci w autoportrecie Michalskiej nie tłumaczy się dostatecznie w zestawieniu z miękkim ujęciem reszty obrazu. Przykładem inteligentnie przeprowadzonych studiów pejzażowych są prace: Chełmickiej, Szturm de Sztrem, Zaremba-Cybisowej, Wilkanowicza. Pamiętamy natomiast lepsze od obecnych obrazy Wł. Zakrzewskiego, który tym razem zaniedbał nieco kolor na rzecz efektów bardzo zamaszystej faktury. Pejzaż prof. Rafałowskiego ożywił się widocznie w „Plaży"; dobrze umieszczona postać ludzka przecina zdecydowanie płaszczyzny pejzażu, ożywiając je — jak biodrzaste naczynie martwą naturę. Prócz pejzażu są dwie martwe natury Rafałowskiego, z których zatytułowana „Przyjaźń" przedstawia dwa zabawnie przytulone pękate dzbanki, zaprzyjaźnione istotnie, tak formą, jak kolorem. Tempery Teresy Roszkowskiej jak zwykle dekoracyjne i żywe w kolorze i kompozycji. Twórczość Roszkowskiej daje kompozycje figuralne, wybitnie dekoracyjne w założeniu, mocno syntetyzujące, z równoczesnym niemal realistycznym ujęciem kwiatów, przy utrzymaniu dekoracyjnej całości obrazu. „Gdynia" prof. Rolińskiego malowana szerokimi pociągnięciami utrzymana jest w bogatej gamie szarej. Pełne spokoju w formie, kolorze i kompozycji są prace Malickiego; wyczuwa się w nich — by tak rzec — zadumę. W powściągliwych, dyskretnych efektach pejzażowych celuje Klimaszewska, równie dobra w dziale malarskim, jak w grafice. Etiudy temperowe Simon-Pietkiewiczowej pokazują tę zdolną malarkę od strony beztroskiego, wytwornego szkicu. Twarde pejzaże - konstrukcje Witolda Millera są oryginalne w przekornych, dysonansowych zestawieniach kolorystycznych. W dziedzinie kompozycji figuralnej wyróżnia się J. Połeć, którego „Dziewczynka z kurami" należy do najlepszych obrazów na wystawie. „Wojsko" Betleya ma zarazem monumentalny i dekoracyjny charakter; systematyczne nachylenie postaci ku środkowi, wywołane przez hamowanie koni, rozplanowanie świateł z plamami jasnych koni na środku, dominująca postać z wzniesioną ręką — na drugim planie — wszystko to jest aluzją do renesansowej kompozycji piramidalnej, z nowoczesnym ujęciem koloru i formy.

Nie każda współpraca artystyczna malarskich małżeństw daje równie pomyślne rezultaty, jak u Michalskich. Nic nowego nie wnosi bowiem kubizująca maniera, jakiej ulegli oboje Krajewscy — maniera trudna do przyjęcia wobec ich dawnych osiągnięć. O ile po romańskiej geometryzacji, rysunki Villarda de Honnecourt, architekta z XIII wieku, którym szczyci się Francja jako dość wczesnym istotnie prekursorem kubizmu, mają użytkowość schematu, o tyle w obrazach Krajewskich ani deformacje, ani maniera trójkącikowa nie wydaje się dostatecznie uzasadniona koniecznością artystyczną.

To samo da się powiedzieć o pracy „Stołówka" W. Roszkowskiej; obraz jest wręcz przykry w kolorze, formy stłoczone i męczące. Zrozumiała jest raczej przyjemnie i jawnie barbarzyńska w kolorze martwa natura Kowarskiej silnie prymitywizująca i przypominająca obecne malarstwo tahitańskie. Inny rodzaj uproszczenia pokazał R. K. Witkowski w swej apoteozie człowieka pracy — „a spod jego młota — lecą iskry złote"... — stanowiące wraz z rozpaloną do czerwoności sztabką metalu jedyny gorący efekt wśród ładnych, gładkich szarości. Obraz jest dobrze skomponowany i — pomimo deformacji rysunkowych — zrozumiały dla najmniej wytrawnego widza.

Uproszczenie form musi być usprawiedliwione założeniami kompozycyjnymi, kolor zaś musi to uproszczenie niejako wynagradzać przywykłemu do realizmowi widzowi. W przeciwnym razie obraz ma cechy przypadkowości, niezdecydowania na określony typ malarstwa; do takich prac należą m. i. obrazy p. Brosz, słabsze od pokazanych na wystawie Pejzażu Ziem Odzyskanych oraz niektóre partie dużej kompozycji Tworkowskiej „Wypoczynek". Prace te zyskałyby chyba wiele, gdyby je sobie wyobrazić w mocno zmniejszonym formacie. Ładną, stłumioną gamą barwną i przyjemnym rysunkiem operuje Cygańska - Walicka. Wartości rysunkowych nie zaniedbuje również poważne, w duchu neoimpresjonizmu, malarstwo Krycha.

Bardzo interesująco wypada przegląd ujęć kolorystycznych martwej natury u tak różnych malarzy, jak Krych, Burke, Podoska-Kochowa, Połeć, Sokołowski J. S., Janecka, Obrębska, Pachniewska, Kozłowski. Martwa natura jest chyba jedynym tematem, którego „treść" nie obchodzi dziś nawet nieobytego widza, kierującego całą uwagę na formę i kolor. Będąc dobrym ćwiczeniem dla plastyka, martwa natura jest dla widza szkołą. Dział rysunkowo-graficzny zawiera tym razem przeważnie rysunki tuszem, ołówkiem, sepią, węglem, kredką, akwarelą. Z technik graficznych reprezentowana jest akwaforta, suchoryt i autolitografia. Szkoda że na wystawie dorocznej ZPAP okręgu warszawskiego brak naszych doskonałych drzeworytników.

Wśród akwafort są dwa pełne wyrazu wspomnienia z obozu Kościelniaka, który w 46 r. zadebiutował bardzo dobrym cyklem oświęcimskim na wystawie „Warszawa oskarża" w Muzeum Narodowym. Zalety rysunku realistycznego ma „Stajnia" Karniewskiego (znów owo pogardzane „rzemiosło"). Suchoryty Majewskiego, jak zwykle skłonne do lekkiej groteski, mają wiele rozmachu; jego „Praca", o mocnej — by tak rzec — drapieżnej kresce, dobrze podporządkowuje postaci napięciu kierunkowemu. Nie znam twórczości B. Piprek, ale po raz drugi pokazane główki nadawałyby się raczej na wystawę zbiorową jej twórczości. Witz kontynuuje w obu pracach swą linearną manierę, nie wpadając w abstrakcjonizm.

W dziale rzeźby jest kilka dobrych portretów. Udatnie zsyntetyzowana jest „Głowa" Z. Woźnej. „Portret" Gorełówny w drzewie ma dużo charakteru. Poważny i monumentalny jest brąz Strynkiewicza. Łukianow ma nieco słodkawą manierę, w którą łatwo — ze względu na swoją tematykę — mógłby wpaść również Sikora. Ratuje go jednak bardzo silne wyczucie dekoracyjności, które np. w „Foranku" tuszuje miłe cechy indywidualne modela. Żubry, dzięki swym masywnym formom, stanowią wielką pokusę tematyczną. Dobry żubr Momota jest już trzecim, jakiego ostatnio oglądamy. Portrety zwierząt zmarłej niedawno Magdaleny Gross zatraciły cechy indywidualne, zamieniając się w formy silnie zsyntetyzowane i dekoracyjnie wygładzone. Jej „Zając" jest uroczy. Rzeźby Zerycha ujmują bezpośredniością; impresyjnie potraktowana głowa warszawskiego gavroche'a — Józka „Żywej Torpedy", wraz z ekspresjonistycznym rysunkiem na cokoliku, działa na wyobraźnię warszawianina w sposób, w którym wzruszenie czysto artystyczne trudno oderwać od ładunku uczuciowego. Ogółem biorąc wystawa jest żywsza i bogatsza od zeszłorocznej

Anna Z. Linke

Notatnik muzyczny

Koncert eliminacyjny, zakończenie sezonu Filharmonii Warszawskiej

Do eliminacyjnego krajowego konkursu chopinowskiego zgłosiło się 23 kandydatów z całej Polski. Był to więc prawdziwy przegląd naszych pianistycznych talentów. Wśród członków jury zasiadali pianiści: Drzewiecki, Koczalski, Szpinalski, Sztompka, Woytowicz i Żurawlew. Rezultatem punktacji jest wybór dziesięciu kandydatów, którzy zagrali w sali „Romy" część koncertu Chopina i — opatrzeni aż do czasu konkursu międzynarodowego stypendium w kwocie 25.000 zł miesięcznie — ćwiczyć teraz mają, by w Roku Chopinowskim bronić barw naszych w konkurencji światowej. Komisja złożona z pianistów badać będzie ich postępy. Warto już dziś zasygnalizować nazwiska tych, którzy pokusili się o zdobycie miejsc w eliminacji krajowej.

Najwyższą ilość punktów zdobył 23-letni łodzianin, Zbigniew Szymonowicz, studiujący, obok fortepianu, kompozycję u prof. Sikorskiego. Po nim idą kolejno, wedle ilości punktów: Waldemar Maciszewski, 21-letni uczeń prof. Drzewieckiego, Regina Smendzianka, uczennica prof. Sztompki, Ryszard Bakst z Wrocławia, Halina Stefańska - Czerny z Krakowa, Tadeusz Żmudziński z Katowic, Barbara Hesse — Bukowska, najmłodsza wśród pań, pianistka i śpiewaczka, uczennica prof. Langeron z Warszawy, Tadeusz Kerner z Sopotu, Władysław Kędra z Warszawy i Julitta Ślendzińska z Krakowa. Warto wymienić pozostałych, spośród których niejednego usłyszymy może w następnej eliminacji i konkursie. Są to: Jan Draht z Katowic, Adam Harasiewicz, 16-letni beniamin konkursu, uczeń prof. Stojałowskiego z Rzeszowa, Irena Lehrówna z Bydgoszczy, Jadwiga Matuszkiewicz ze Szczecina, Barbara Muszyńska z Krakowa, Wanda Rybarska z Gliwic, Kazimierz Serocki z Warszawy, Aleksander Tabahsblat z Łodzi i Zofia Vogtman z Warszawy.

Jak widać z tego spisu, mamy pianistów w całej Polsce i te pierwsze po wojnie zawody dały nam interesujący przegląd porównawczy, z którego wyłonić się powinny jednostki o „skali międzynarodowej".

✣

Ostatni w tym sezonie koncert Filharmonii Warszawskiej pozwala nam, dzięki sprawozdaniu dyr. Maklakiewicza, na następujący krótki bilans jej działalności w pierwszym po wojnie roku jej istnienia:

Orkiestra składa się z 84 instrumentalistów. Wielka szkoda, że nie doszło do utrzymania chóru, który — choć amatorski — mógł się stać zalążkiem zespołu, bez którego nie sposób wyobrazić sobie pełnej działalności artystycznej tej placówki muzycznej.

W omawianym okresie Filharmonia dała 55 koncertów, z czego 36 wieczorów piątkowych.

Wykonano 121 utworów, z czego 42 polskich — 79 obcych. 6 z epoki przedklasycznej, 31 klasycznych, 32 romantycznych i 52 współczesnych. 72.770 słuchaczy przewinęło się przez salę Filharmonii, czyli, przeciętnie, 1.300 na jednym koncercie. Stałymi dyrygentami byli Mieczysław Mierzejewski i Tadeusz Wilczak. Ponadto dyrygowało 8 dyrygentów krajowych: W. Bierdiajew, K. Wiłkomirski, W. Rowicki, Z. Latoszewski, Z. Górzyński, St. Kazuro, F. Kulczycki, W. Laski i 6 zagranicznych: Fr. Autori, M. Harwat, K. Iwanow, J. Martinon, L. Rajter i Cl. Raybould.

A oto, w porządku chronologicznym, soliści krajowi, których usłyszeliśmy:

Pianiści: H. Sztompka, J. Ekier, R. Koczalski, K. Klein, Wł. Kędra, B. Woytowicz, M. Wiłkomirska, St. Szpinalski, Zb. Drzewiecki, M. Kazurowa, R. Smendzianka.

Skrzypkowie: E. Umińska, I. Dubiska, G. Bacewiczówna.

Śpiewacy: Ada Sari, W. Bregy, E. Bandrowska, M. Szalińska, M. Bolechowska.

Recytacje: M. Wyrzykowski, T. Bocheński, T. Marek.

Soliści zagraniczni:

Pianiści: M. de la Bruchollerie (Francja), L. Oborin (ZSRR), I. Ungar (Węgry), I. Hurnik (Czechosłowacja), E. Gilels (ZSRR), G. dell'Agnola (Włochy).

Skrzypkowie: Fr. Koch (Belgia), M. Hlounova (Czechosłowacja).

Wiolonczeliści: M. Sadlo (Czechosłowacja), M. Marechal (Francja).

Fleciści: J. van Veen (Holandia).

Śpiewacy: E. Reissigova (Czechosłowacja), Anita Meze (Jugosławia).

Łączna liczba solistów występujących w sezonie 1947-48 wyniosła 32, z czego 19 krajowych, 13 zagranicznych.

Zanim omówię w przyszłości poziom i znaczenie Filharmonii Warszawskiej, podkreślę trudności, które w tym pierwszym pionierskim okresie miała ona do przezwyciężenia: przystosowanie sali, warunki mieszkaniowe muzyków, trudności budżetowe, brak materiału nutowego (kiedyż stworzymy ogólnopolską, na razie, biblioteczkę muzyczną!) niemożliwość wczesnego ułożenia programu, wobec przyjazdów gości zagranicznych, o których dowiadywano się w ostatniej — dosłownie — chwili, wszystko to sprawiało, że praca w Filharmonii stołecznej najeżona jest wielkimi trudnościami.

✣

Na ostatnim koncercie T. Wilczak dyrygował uwerturą Moniuszki do opery „Flis", po czym Grażyna Bacewiczówna odegrała bardzo pięknie I Koncert Skrzypcowy Szymanowskiego. Skrzypaczka była w znakomitej formie, a orkiestra i dyrygent zdali prawdziwy egzamin, wykonując tę trudną partyturę po znikomo małej ilości prób.

W drugiej części programu wykonano 3 pieśni St. Kazury z oratorium „Morze", odśpiewane ładnym, równym głosem przez Alinę Bolechowską, i poemat symfoniczny „Grunwald" J. Maklakiewicza pod dyrekcją M. Mierzejewskiego.

Zygmunt Mycielski

• Książki • Książki • Książki •

BELETRYSTYKA

„PIORKIEM FLAMINGA" Wojciecha Żukrowskiego

Katowice, „Awir", 1948; str. 205 i 2 nl.

Można postawić diagnozę: urocze. To tak, jak gdyby chirurg powiedział „głupstwo, nie warto operować" i odłożył lancet. Opowiadania przewrotne Żukrowskiego są naprawdę urocze i doskonale skomponowane, ciekawe technicznie (kilka chwytów typowo filmowych), dowcipne i pisane językiem giętkim jak ostrze szpady. Że jest to literatura lżejszego kalibru, literatura na deser — nie szkodzi; gorzej, jeśli ów deser się kruszy i pochodzi z bardzo dawnej uczty. Bo cykl krótkometrażówek Żukrowskiego — to okruchy ze stołu nadrealistów. Zniszczono jednoznaczność słów, pozorną wiedzę o świecie i pozorne głębie myśli. Żukrowski stroi miny, przedrzeźnia, niby moralizuje i straszy na dwustu stronach druku, nie pokazując ani na chwilę swej ludzkiej twarzy.

Wiadomo, że ludzie są skłonni nawet bajki traktować serio i mają rację. Ale z bajek Żukrowskiego można zrozumieć tylko jedno: że „dwudziestolecie", w literaturze jeszcze trwa, pełne grymasów i słów, rzuconych beztrosko na wiatr, przewrotnych słów, które rozmaicie mogą zakiełkować, bo naprawdę są przewrotne..

Krzysztof Gruszczyński

„NIEURODZAJ" Kazimierza Zenona Skierskiego

Kraków, Księgarnia św. Anny, 1948 r.; str. 388.

„Nieurodzaj" to powieść psychologiczna dawnego typu, w której innowacją jest zastosowanie schematu romansu kryminalnego. Według intencji autora wszelkie zagadki psychologiczne, dotyczące głównych bohaterów książki, mają znaleźć rozwiązanie na ostatnich jej stronach, w długiej rozmowie Grzegorza z Tomaszem; tak bywa w powieści detektywistycznej, gdy oficer policji wyjaśnia wszystkim, w jaki sposób odkrył osobę mordercy.

Zasadnicze pytanie wobec tego brzmiałoby: czy naprawdę wszystko zostało wyświetlone, jak tego wymagają prawidła gry, opisywanej epoki i wybranego środowiska? Ośmielam się mieć wątpliwości. Pewne rzeczy są wstydliwie zahamowane. Idealizowanie postaci Tomasza przez Grzegorza jest tak mgławicowe, że jedynie czytając między wierszami, możemy się domyślić pewnych wykrzywień psychiki głównej postaci powieści. Postaci kobiece tej książki — głównie Maria — są wybitnie niesympatyczne. Być może odegrały one pewną rolę w kształtowaniu się Grzegorza, ale to nie zostało w sposób dostatecznie jasny pokazane. Czytając tę książkę, wydaje się czasami, że napisano ją dla wtajemniczonych. W każdym razie „sprawca" nie został właściwie odkryty — przynajmniej dla przeciętnego czytelnika.

Wszystko to razem sprawia, że „Nieurodzaj" jest książką, przynależną do pewnej epoki pisarskiej przez oderwanie się od właściwej dla tej epoki rzeczywistości. Opisu środowiska prawie nie ma — zostało ono sprowadzone do osób, mających bezpośredni wpływ na życie wewnętrzne bohatera, zakorzenionych nie w otaczającym ich świecie, ale właśnie — w Grzegorzu.

Liberalizm — czy, jak kto woli, indyferentyzm moralny „Nieurodzaju" nie pozwala książki określić jako powieści katolickiej.

Witold Wirpsza

„CAŁUN" Bohdana Pepłowskiego

Warszawa, Gebethner i Wolff, 1947; str. 511 i 1 nl.

Stosunek czytelnika do książki Pepłowskiego jest taki sam jak do utworów Dołęgi-Mostowicza. Składa się na to wiele przyczyn: zacięcie satyryczne, wartka akcja niepozbawiona pierwiastka sensacji i nieskomplikowany układ formalny. Słowem, książka należąca w gruncie rzeczy do owego typu drugorzędnej powieści, którego rehabilitacji jesteśmy właśnie świadkami.

Powstaje więc tylko kwestia, czy powieść Pepłowskiego jest użyteczna (czy może lepiej — pożyteczna)? Wydaje mi się, że tak. Autor daje dość zręczny — choć nieco powierzchowny — obraz inteligencji polskiej oraz „sfer przemysłowych" z pierwszej połowy dwudziestolecia, obnażając zarówno egoizm, jak i właściwe sprężyny „patriotyzmu", tych warstw społecznych. Ponieważ patrzy na te warstwy oczami różnych osób (grupa kolegów szkolnych i frontowych jest właściwym, zbiorowym bohaterem powieści), analiza nie jest jednostronna i, co najważniejsze, bawi czytelnika.

Słowem, jeśli już przypinamy do powieści Pepłowskiego etykietkę „drugorzędna", śmiało możemy to określenie uzupełnić przymiotnikiem „dobra".

Witold Wirpsza

„POD BLACHĄ" J. I. Kraszewskiego

W opracowaniu prof. Wiktora Hahna.

Warszawa, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1948; str. 328.

W czwartym wydaniu ukazała się znana i ceniona powieść J. I. Kraszewskiego „Pod blachą". Opracował ją, wstępem i objaśnieniami opatrzył prof. Wiktor Hahn. Od dwóch lat księgarze nasi korzystają znów z puścizny beletrystycznej Kraszewskiego, by zadość uczynić potrzebom czytelniczym, dać materiał lekturowy szkolnictwu. Wznowienia utworów Kraszewskiego stały się niezbędne i z tego względu, że Niemcy spalili nasze księgozbiory. Podczas okupacji zamarł całkowicie ruch wydawniczy.

Czwarte wydanie trzytomowej powieści J. I. Kraszewskiego „Pod blachą" wyróżnia się wśród powojennych wznowień pism tego autora niezwykłą sumiennością. Rzeczowo, przystępnie, fachowo napisany wstęp daje omówienie głównych czynników tego utworu w rozdziałach jak „Książę Józef Poniatowski w twórczości J. I. Kraszewskiego", „Tło historyczne powieści", „Przewodnia idea powieści", „Akcja powieści", „Miejsce akcji" Ten wstęp przez rzeczowość swoją doskonale wprowadza czytelnika w rozumienie treści jak i tego, czym jest ta powieść. Rozdział „Znaczenie powieści" daje perspektywę do oceny utworu. Prof. Wiktor Hahn wstępem tym stworzył wzór, jak tego rodzaju „słowa wstępne" winny być opracowywane, by dać czytelnikowi rzetelny materiał informacyjny pod każdym względem. Zwracają też uwagę sumienne objaśnienia zamieszczone na końcu książki. Znów warto by porównać, co dał prof. Hahn, a co przedkładają inni redaktorzy swoim czytelnikom.

Powieść Józefa Ignacego Kraszewskiego „Pod blachą" na pewno znów wzbudzi szerokie zainteresowanie i wśród nowego powojennego czytelnictwa. Jest ona przecież obrazem z życia Warszawy z czasów pruskiej okupacji sprzed 150 lat. Pokazuje księcia Józefa Poniatowskiego zgodnie z idealizującą tradycją. Kajetan Koźmian tak scharakteryzował bohatera, marszałka Francji, zdawało by się w owych pruskich czasach lekkoducha.

„Bóg nigdy nie stworzył piękniejszej duszy ani natura nie odziała się powabniejszą i szlachetniejszą postawą. Był w nim prawdziwy ideał rycerza z wszystkimi wdziękami"...

Idealna miłość z Sylwią trochę odbiega od romansowej tradycji tego wojaka, jaka utarła się przez pokolenia wśród nas. Kraszewski jednak i w innej powieści, jak „Pomywaczka", wskazuje, że nie wszystkie kobiety, jakie napotkał książę Józef należały do zaczarowanego koła jego... „amore profano".

„Pod blachą" warto odczytać i dla przypomnienia o starej Warszawie, o Jabłonnie, o ludziach, o dawnych obyczajach, o zabawach.

Eustachy Czekalski

POEZJA

Siódmy i ósmy zeszyt „ARKUSZA ŚLĄSKIEGO"

Nowe zeszyty „Arkusza Śląskiego" przynoszą wiersze Wilhelma Szewczyka i Wojciecha Żukrowskiego. Zbiory te poprzedzone są notatkami biograficznymi obu pisarzy pióra Z. Hierowskiego. Szewczyk, jako poeta dobrze jest znany polskim czytelnikom. Arkusz obecny zawiera kilkanaście liryków, przeważnie dotyczących Śląska lub czerpiących swą treść ze wzruszeń społecznych. Żukrowski znany jest więcej jako beletrysta. Jego tom opowiadań „Z kraju milczenia" osiągnął duże powodzenie i uznanie. Obecnie opublikowane w „Arkuszu Śląskim" wiersze były kiedyś konspiracyjnie rozpowszechniane i zwały się „Rdza", „Modlitwa Armii Podziemnej", „Przy baterii", „Zwiad", „Stary biwak", „Pieśń ulicy" przemawiają bezpośrednio, wzruszają samą obrazową treścią.

Miłośnicy poezji oba te zeszyty „Arkusza Śląskiego" powitają z dużym zadowoleniem.

E. C.

W poprzednim 26 (187) numerze „Odrodzenia" z dnia 27 czerwca 1948 roku: **Maria Dąbrowska:** W piękny letni poranek. — **Andrzej Żdanow:** O zagadnieniach muzyki radzieckiej. — Stenogram nie-sejmowy, czyli bób ob. Nosala. — **Wojciech Żukrowski:** Ręka ojca. — Wiersze czeskie w przekładzie **K. A. Jaworskiego.** — **Wiktor Dyk:** Mówi ziemia. — **Franciszek Halas:** Nie ma imienia. — **Jarosław Seifert:** ***. — **Jan Kott:** O Leonie Chwistku — Książki: Popularyzacja literatury („Adam Asnyk" — Antoniego Mikulskiego; „Hugo Kołłątaj" Tadeusza Czapczyńskiego) — **Edmund Osmańczyk:** Listy berlińskie: Dwudziestu Niemców w PEN-Clubie. — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny. Wizyta kompozytorów radzieckich, konkursy, opera. Film: **Jerzy Płażewski:** „Życie Emila Zoli", film amerykański. — **Lucjan Wolanowski:** „Kulisy wielkiej rewii", film amerykański — Korespondencja: **Marek Bogacki:** W sprawie literatury o Chopinie. — **Zofia Wójtowicz:** Puryści językowi a emancypacja kobiet. — **Roman Lutman, Tadeusz Mikulski:** Protest. — **Anatol Stern:** Powieść monograficzna o Leśmianie. — Polonica wiedeńskie. — Camera obscura. 19 ilustracji. — 8 stron.

F I L M

»Casablanca« film amerykański

Casablanca — niepokojące, południowe słowo: białe moszee, mauretańskie łuki, zakwefione Berberyjki, palmy na bulwarach, tłumy Arabów w czerwonych fezach, białe i ciasne uliczki, minarety, muezzini i upał.

Casablanca z roku 1941 nie była jednak wcale Casablancą z Baedeckera i walną zasługą Michaela Curtisa jest, że potrafił to dostrzec, oraz że umiał nas o tym przekonać. Po wszystkich planach obrazu każe się Curtis snuć malowniczemu, międzynarodowemu ,towarzystwu: bankierom amsterdamskim, jakimś norweskim rozbitkom, pięknym kokotom z Place de l'Opéra, włoskim handlarzom kosztowności, bułgarskim Żydom malajskim fordanserkom i murzyńskim śpiewakom rewiowym. Wszyscy oni przybyli tu, na kraj świata, podbitego przez Hitlera, wpatrzeni w dalekie brzegi Portugalii. Lizbona, to już wolność...

Zaczyna się od tegoż właśnie tła, którego nieco umowny autentyzm przynosi zaszczyt reżyserowi. Tło jest niezrównane, poczynając od wnętrza nocnego lokalu, stylizowanego na modłę arabsko - nowojorską, a kończąc na politycznym przestępcy, zastrzelonym pod wielkim portretem Pétaina, opatrzonym cytatą: „Dotrzymuję obietnic własnych i cudzych".

Najciekawsza bodaj jest owa atmosfera egzotyki, jaką tchnie cały film. Jest to raczej egzotyka postaci i stosunków, umiejętnie dawkowana, niż egzotyka Casablanki - miasta. Miasta, po prawdzie, niewiele widać. Za to dzień powszedni takiego zakątka globu, nad którym ciąży wprawdzie brunatna łapa obersturmbahnführera Strassera (oryginalny Konrad Veidt), ale gdzie z cichą aprobatą francuskiego komendanta Renauta (oryginalny Claude Rains) dźwięki Marsylianki mogą jeszcze zagłuszyć niemiecki paradenmarsch (kapitalna scena!) — to egzotyka czystej wody.

O ile reżyser zasłużył sobie na piątkę, o tyle autorzy scenariusza nie są wolni od grzechu naiwności. Wiemy zresztą z góry, czego się spodziewać po amerykańskich twórcach rozlicznych powiastek o antyfaszystowskiej konspiracji. Tym razem niekonsekwencje scenariusza okupili autorzy dostatecznie przez przysłowiowo amerykańskie tempo i szczęśliwe uniknięcie dłużyzn w montażu.

Gra całego zespołu, wśród którego błyszczy z osiem gwiazd pierwszej wielkości, znakomita. Co ciekawsze, wielkości nie wchodzą sobie wzajemnie w drogę.

Szerzej o jednej z nich. Sławiona pod niebiosy przez wszystkie tuby propagandowe Hollywoodu Ingrid Bergman okazuje się — o dziwo! — doskonałą artystką, która niezwykle oszczędnie szafując środkami aktorskiego wyrazu, potrafi docierać do prawdy. Ani koturnów, ani wampowatości. Nieledwie skromność aktorska. Jak na ojczyznę Gret, Marlen i zamerykanizowanych Danielek Darrieux — to bardzo dużo. Maluczko, a można sobie będzie gratulować rewolucji w poglądach i zdemokratyzowania heroin amerykańskiego ekranu.

Ładniutka Ingrid jest bardzo kinową aktorką. Po trudnej, a przytem niezbyt wdzięcznej roli żony nieugiętego bojownika o wolność, oscylującej między namiętnością, a bohaterstwem, z dużym zainteresowaniem oczekiwać będziemy jej następnego filmu. Może bowiem i taki film zamierza „Film Polski" zamówić w państwie Mopexas, jako dodatek do „Tajemnic doktorów O'Connorów"?

W każdym razie „Casablanca", mimo swych wszystkich wad, jest dobrym filmem.

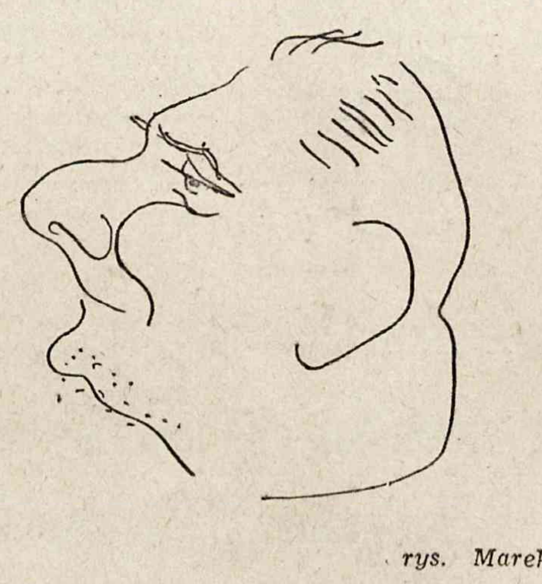
Jerzy Płażewski

HUXLEY W POLSCE



Julian Huxley, dyrektor naczelny UNESCO, który bawił kilka dni w Warszawie, interesował się żywo przygotowaniami do mającego się odbyć we Wrocławiu Kongresu Intelektualistów w obronie pokoju

„Życie jest fraszką"



rys. Marek Rudnicki

— mówi Stanisław Jerzy Lec, którego tom fraszek ukazał się niedawno

Korespondencja

DR IGNACY SCHREIBER — ZAPOMNIANA OFIARA WOJNY

Do redaktora „Odrodzenia"

Rejestr strat kultury polskiej, poniesionych w latach 1939 — 45, mimo niewątpliwie sumiennych badań i opracowań o charakterze ogólnym czy też bezpośrednio związanych z daną dziedziną nauki i kultury, nie jest zamknięty i wymaga stałych uzupełnień, aby można było w całości ująć obraz dokonanych podczas wojny zniszczeń. Ponieważ terror hitlerowski nie przebierał w ofiarach na terenie całej Polski, zdaje się, że jest konieczne zainteresowanie omawianą sprawą wszystkich mieszkańców kraju, w przeciwnym bowiem razie wiele spraw istotnych ujść może uwadze historii. I tak na przykład dotychczas pomijano milczeniem fakt zgonu dr. I. Schreibera, człowieka niezwykłej kultury, autora podstawowej monografii o komediopisarzu Lubowskim (ob. Encyklopedię Gutenberga), teatrologa, polonisty, zamieszczającego swe prace m. i. w „Wiadomościach Literackich" — (rzecz o gwarze uczniowskiej).

Na „liście strat kultury polskiej" prof. B. Olszewicza, liczącej ok. 4400 pozycji, brak dr. Schreibera, choć są tam nazwiska osób o pomniejszym znaczeniu, nawet z tego samego terenu pracy, na którym on przebywał, podajemy więc: dr. Ignacy Schreiber w chwili wybuchu wojny, zdając sobie dobrze sprawę, czym jest hitleryzm i jakie jest jego prawdziwe oblicze, nie przedsiębrał ani ucieczki z miasta, w którym pracował — to jest z Częstochowy, ani też nie zdecydował się na przeżycie choćby jednego dnia w niewoli niemieckiej. Jak prawdziwy pan swego życia, wybrał śmierć z własnej ręki i zginął jeszcze w pierwszych dniach września 1939 r.

Bogata biblioteka dr. Schreibera i jego prace — jeszcze w rękopisach zostały uratowane i przechowane. podczas wojny przez grono znajomych zmarłego i dziś znajdują się w rękach dr. K. w Łodzi.

Sławomir Folfasiński
(Częstochowa)

*

NIE JESTEM PIĘKNYM MODRYM DUNAJEM

Do redaktora „Odrodzenia"

Ze zdziwieniem ujrzałem w poprzednim numerze „Odrodzenia" mój podpis pod „Polonicami wiedeńskimi".

Ostatnio weszło w zwyczaj, że wszelkie „Viennesiana" opatruje się automatycznie moim podpisem.

Otóż oświadczam raz na zawsze pod słowem honoru: Nie byłem z Janem Sobieskim pod Wiedniem, nie skomponowałem walców Straussa, nie jestem wynalazcą sznycla wiedeńskiego, wolę wodę ognistą od wody Franciszka Józefa, a co do wiedenek... (zostawmy, żona moja jest wierną i skrupulatną czytelniczką „Odrodzenia").

Stanisław Jerzy Lec
(zdziwiony w Warszawie)

Polskie Towarzystwo Historyczne wyznaczyło *3* nagrody (w wysokości 250.000, 200.000 i 100.000 zł.) za prace naukowe, dotyczące dziejów Ziem Odzyskanych (Śląsk, Pomorze, Ziemia Lubuska, Prusy Wschodnie), wydane w latach 1945 — 1948, lub przedłożone w rękopisie. Prace należy nadsyłać do Sekretariatu Generalnego Polskiego Towarzystwa Historycznego pod adresem: Warszawa, Uniwersytet, Instytut Historyczny, doc. dr Aleksander Gieysztor, do dnia 1 lipca br.

Sąd Konkursowy pod przewodnictwem prof. dr. Kazimierza Tymienieckiego ogłosi przyznanie nagrody w dn. 19 września br. we Wrocławiu w czasie VII Powszechnego Zjazdu Historyków.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Lucjan Kaniewski, Warszawa, Dworkowa 2, m. 4. za wycinek z „Kuźnicy".

BYŁO BALZAKISTÓW WIELU...

Ryszard Matuszewski tłumaczy w „Kuźnicy" rozprawę Lukacsa „O straconych złudzeniach Balzaka", w której czytamy:

Dwu dni wspólnej obecności w Paryżu wystarcza, by Lucjan i Ludwik de Bargeton rozpoznali w sobie nawzajem ludzi z prowincji i aby się nawzajem jeden od drugiego odwrócili.

Katastrofa rozgrywa się podczas wspólnego wieczoru w teatrze.

Prawdziwa katastrofa nastąpiła jednak przy tłumaczeniu z języka niemieckiego na polski. Ludwika de Bargeton zmieniła płeć żeńską tę ze „Straconych złudzeń" na — męską, tę z przekładu. I cóż dziwnego, że „się nawzajem jeden od drugiego odwrócili", dwaj mężczyźni?

WIELKIE ODKRYCIE

„Młoda Wieś donosi:

Było to w trzysta niemal lat po wielkim odkryciu polskiego uczonego Mikołaja Kopernika, który w swym dziele pt.: De Revolutionibus orbium coelestium" („O ruchach ciał niebieskich") dowiódł, że ziemia jest punktem centralnym, naokoło którego obraca się słońce.

Można to łatwo sprawdzić obserwując codzienną wędrówkę słońca po niebie...

PROFESORKA!

W rubryce „Różne" „Życia Lubelskiego" „śmieszy, tumani, przestrasza" naiwnych czytelników niejaka Irena Trzaskowska:

WP. Trzaskowska, Weteranów 24. Pani ma wpływ magnetyczny na ludzi.
835 Stanisław Łąka

A teraz kwiatki z tej łąki:

Polonistce Irenie Trzaskowskiej Weteranów 24, dziękuję za wyleczenie z nostalgii. Mgr prawa Janina Włodzimirska. 129

Pani Profesorko! Prosimy o wytłumaczenie poza naukowe tego zjawiska Piaseccy. 638

Do Studentki Ireny Trzaskowskiej. Błogosławię Ci, dziecko na pracę dla dobra dusz. Twój były spowiednik, ks. Bronisław Księżopolski, Chicago. 180

Pani Ireno! Obiecała Pani, że kiedy wina moja zostanie zmazana ukaże mi się sfinks i tak się stało. Zyta 419

Chłopakom. Mogła zajść mimowolna sugestia z mojej strony. Pomyślałam o was wtedy na recitalu moich poezji, a wy zobaczyliście mnie każdy gdzie indziej.
839 Irena Trzaskowska

Pani Profesorko. Mamy lat od osiemnastu do dwudziestuczterech i nigdy nie mieliśmy żadnych wizji. Pani żartuje. Prosimy o poważną odpowiedź „Chłopaki". 820

Moim chłopakom. Nerwowe dzieci teraz przychodzą na świat. Musiało się Wam wydać, że widzieliście mnie w trzech miejscowościach jednocześnie. Trzaskowska. 672

Do filozofki Ireny Trzaskowskiej. Dzięki Pani przestałem się dręczyć przeszłością ukochanej. Mgr Farmacji Jan Łepicki Bydgoszcz. 182

Janku! To się jeszcze naukowo nie da wytłumaczyć. Irena Trzaskowska. 602

Do Pani Ireny Trzaskowskiej. Ćwiczenie nasze się udało, Pani częściowo zmaterializowała się u nas i usłyszeliśmy wymówkę za ciągłe wzywanie Pani. — Kąkolewscy. 346

Droga pani Ireno. Ćwiczenie nasze udało się. Zmaterializowała się pani u nas częściowo. Na szczęście w tej części, na której wymierza się sprawiedliwość za tumanienie ludzi...

WYPAD

„Express Wieczorny" donosi:

Grecka armia demokratyczna wzięła w Egipcie do niewoli całą 76 brygadę ateńską.

Biblijne blagi egipskie...

PRACA

W „Życiu Warszawy" znajdujemy następujące ogłoszenie:

Pielęgniarka wychowawczyni, siła fachowa, przyjmie pracę noworodka. Koszykowa 51—18, od kuchni.

Uwaga! Przewija się sama!

FRASZKA

W „Szpilkach" znajdujemy rewelacje o warszawskich marmurach:

Biały i polerowany jest marmur
z Warszawy,
Białe mleko, przysłane w sitowiu
z koszary,
Biały łabędź i białym okrywa się
piórem,
Biała perła, nieczęstym zażywana
sznurem.
Ale bielsza mej panny płeć twarzy
i szyje,
Niż marmur, mleko, łabędź, perła,
śnieg, lilije.
Andrzej hr. Morsztyn (1613-1693)

Powinno oczywiście być:
Biały i polerowany jest marmur
z Szydłowca,
Białe mleko, przysłane w sitowiu
z koszary...

KOMPLET

W nr 159 „Rzeczypospolitej" czytamy:

WYCIECZKA STUDENTÓW WROCŁAWSKICH DO CZĘSTOCHOWY

Na zaproszenie rektora Uniwersytetu i Politechniki w Brnie wyjechała dn. 9 bm. delegacja 6 profesorów, 125 studentów Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej pod kierownictwem rektora prof. Kulczyńskiego i prezesa zarządu wojewódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej prof. Dworzaka na kilkudniową wycieczkę do Brna, Zlina i Morawskiej Ostrawy. Celem wycieczki jest nawiązanie bezpośredniego kontaktu profesorów i studentów uczelni polskich i czechosłowackich.

A w 160 nr. tego samego dziennika znajdujemy następującą odpowiedź redakcji:

P. Mond Paweł — Wilków. Z oferty nie skorzystamy, ponieważ mamy pełny komplet korektorów.

Czego?

PRZESTĘPCZY ZWIĄZEK

W rubryce „Zguby" „Expressu Poznańskiego" czytamy:

Unieważniam zagubioną legitymację członkowską Zw. Zaw. Kelnerów i Alkoholików na nazwisko Zofia Borowiecka — Lipki Wielkie 9.

A czy fioletowy nos nie wystarczy jako dowód alkoholizmu?

KANDYDAT

Zbliża się termin przyznania „Nagrody Odrodzenia" za tom prozy. Zwracamy uwagę na Mieczysława Sylwestra, który cicho, bez rozpowszechnionego wśród literatów reklamiarstwa drukuje już 96-ty odcinek swej powieści na łamach „Kuriera Wielkopolskiego". Oto streszczenie poprzednich rozdziałów:

Wywiad niemiecki w Polsce działa. Tajemnicze światła w kopalni „Anastazja", takie same, jak na cmentarzu. Sataniści w grobowcu. Henrietta i Skrzycki z Riwiery wracają do Dreźnic. Tajemnicę zniknięcia Henrietty pragnie wyjaśnić detektyw Petroń, którego sataniści po zdemaskowaniu wiążą w grobowcu. Brzytewka aresztowany przez Petronia wskazuje policji grobowiec. Petroń uratowany. Z ręki satanistów giną Wnuk i górnik Flis. Piotrem Owsem interesuje się Czeliński. Petroń podejrzewa Osten-Topolskiego. Zboczeniec Gliniec ponawia obrzędy satanistyczne, w czym pomaga mu Piotr Owies.

A oto fragment powieści:

Przewracając się na twardym swym łożu myślał ze smutkiem o rozchwianiu się wszystkich jego marzeń o świetnej przyszłości.

Cofamy kandydaturę. Przewracamy się ze smutkiem na twardym swym łożu myśląc o rozchwianiu się naszych nadziei na zatamowanie fali grafomaństwa zalewającej odcinki powieściowe w dziesiątkach polskich pism!

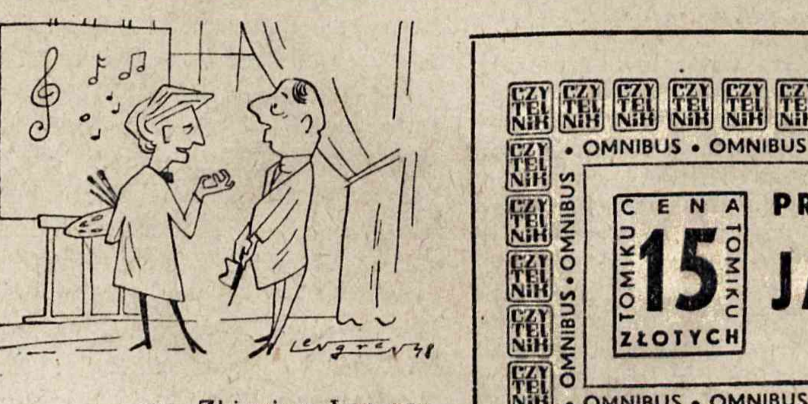
KĄCIK DLA KOBIET

W „Robotniku" czytamy:

POLSKA BIERZE UDZIAŁ W MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWIE KOBIET

Dn. 5 bm. odbędzie się w Paryżu uroczyste otwarcie Międzynarodowej Wystawy, zorganizowanej przez Światową Federację Kobiet.

Autora tytułu radzimy wystawić bez względu na płeć!



rys. Zbigniew Lengren

— Pracuję obecnie nad wprowadzeniem elementów muzycznych do malarstwa.

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji. Warszawa. ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO nr I-4739

Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-53638 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"